EPOKA

ROK III. Warszawa, 21 czerwca 1936 r. Nr. 2 (67)

Treść numeru:

ŚWIAT ODMIENIA SWE PODSTAWY BYTU

Świat odmienia swe podstawy bytu — oto nieodparte przeświadczenie, które łączy wszystkich: i tych, którzy pragną odmiany, i tych, którzy się jej przeciwstawiają. Ci, którzy jej pragną, świadczą o niej tem wszystkiem, co narasta w ich duszach; ci, którzy jej nie chcą, świadczą o niej krzykiem swej nienawiści i strachu.

Wielka przebudowa jest w toku.

Napróżno rozmaite państwa i narody, a właściwie klasy, które niemi rządzą, uciekają od niej, zamykają się w swych granicach, najeżonych kolczastemi drutami nacjonalizmów. Przed każdem ze społeczeństw jawi się to samo zadanie, olbrzymie i nieuchronne: zadanie, które polega na zorganizowaniu całego życia ludzkiego na nowej bazie gospodarczej.

Czyż trzeba dowodzić, że dotychczasowa baza się załamała?

Dowodów na to, niestety, dostarcza nam samo życie, szarpiąc się w zabójczych obcęgach sprzeczności. Z jednej strony rzesze ludzkie marnieją bez pracy i zarobku; z drugiej — stoją bez obsługi fafabryki i warsztaty. Tu nadmiar zboża rozsadza śpichrze, tam dzieci bezrobotnych schną i umierają bez chleba. Tu rośnie klęska urodzaju, tam czai się głód miljonów. Tu — miljon dziatwy chłopskiej bez nauczycieli, tam — 15 tysięcy nauczycieli bez zatrudnienia. Tu — ogrom zadań, których nikt nie podejmie, bo w kalkulacji zysku prywatnego nikomu się nie opłacą; tam — miljony rąk, których nikt nie zawoła do pracy, bo praca przestała być potrzebna tym, którzy wyłącznie mają prawo nią dysponować.

Prawdziwą miarą schyłku tego systemu gospodarczego, w jakim żyjemy, nie są więc takie lub inne, choć przeważnie mało pomyślne wskaźniki wytwórczości; jego miarą istotną jest nieustanne pogłębianie się kontrastu między potencjałem sił wytwórczych, a wytwórczością teraźniejszą; między stopą życia plutokracji, a bytem pracownika umysłowego, chłopa i robotnika; między rywalizacją mocarstw, walczących ze sobą o nowy podział rynków i kolonij, a solidarną ich postawą w obliczu jednoczącego się coraz wyraźniej świata pracy.

Nadszedł moment przewidziany przez największego z diagnostów ewolucji społecznej: koncentracja kapitalistyczna dobiega szczytu. Koncentracja kapitalistyczna stała się faktem dokonanym. To znaczy: władza nad bogactwami świata skupiła się

w rękach szczupłej oligarchji bankierów i wielkich przemysłowców; oligarchji, która bezpośrednio lub pośrednio pełni nadzór nad całością gospodarki światowej.

Za pośrednictwem kredytu, sprzedawania energji, środków przewozu, dobywania i podziału surowców, zapomocą systemu ubezpieczeń, zapomocą kolosalnych urządzeń, ujmujących w karby handel detaliczny, kapitał finansowy sprawuje rządy nad życiem gospodarczem, a poprzez nie, nad życiem politycznem, religijnem i kulturalnem. Dzięki tym metodom, kapitalizm ciągnący nieograniczone zyski z osiągniętej przez się koncentracji, obarcza jednocześnie haraczem wszystkich pozornie samodzielnych wytwórców, którzy, gospodarując na małym skrawku roli, na małym warsztacie, lub w małym sklepiku, nie zdają sobie sprawy, że są już tylko wyrobnikami cudzego pieniądza.

Kapitalizm zbudował kolosalny — na miarę światową — aparat wytwórczości, obiegu i podziału bogactw, aparat, którego prowadzić nadal niepodobna na zasadach kapitalistycznych, jeśli służyć on ma nie interesom wybranych, ale potrzebom ogółu.

Nie jest bowiem prawdą, że gospodarka kapitalistyczna zawodzi, ponieważ ma nieprzyjaciół. Nieprzyjaciół ma dlatego, że coraz szerszym zastępom młodzieży, wstępującej w progi życia, nie rokuje nic prócz dożywocia nędzy.

Nie wszyscy, co prawda, którzy są ofiarami obecnego kryzysu, zdają sobie sprawę, gdzie leżą istotne źródła ich niedoli. Zagrożony w swych podstawach kapitalizm rozwinął cały niezmiernie złożony system zasłon, których zadanie polega na tem, aby ukryć odpowiedzialność jego za krzywdę bezrobocia i gorycz, oraz gniew pokrzywdzonych pchnąć na bezdroża bądź antagonizmów międzynarodowych, bądź walki domowej.

Tu, w tej potrzebie maskowania swej odpowiedzialności za głód i poniewierkę miljonów ma swe jadowite źródło agitacja, usiłująca narodowość przeciwstawić narodowości, wyznanie — wyznaniu, rasę — rasie.

Filozofja i polityka pieniądza gotowa jest wszędzie dostrzegać przeciwieństwo, tylko nie tam, gdzie ono jest istotne: między człowiekiem sytym a głodnym.

I aby oszukać tych, których nasycić nie próbuje, karmi ich truciznami nienawiści, z których najzgubniejszą, bo najbardziej rozpowszechnioną jest trucizna antysemityzmu. W zastępy młodzieży polskiej, wyzutej z pola pracy i zarobku przez kapitał finansowy, paraliżujący całe nasze życie gospodarcze, wmawia się, że sprawcami jej nędzy są Żydzi, którzy zajęli jakoby jej miejsca w handlu i wolnych zawodach.

Cóż sądzić o tym argumencie?

Aby się przekonać, jak dalece jest on perfidny i pusty, wystarcza przypomnieć, że liczba ludzi, wyrzuconych w naszym kraju poza nawias pracy wytwórczej, wynosi wedle świadectw urzędowych, dwakroć więcej, niż cała ludność żydowska. A jakiż odsetek wśród tej ludności żydowskiej stanowią bezrobotni? Zapewne bardzo wysoki. Inaczej bowiem jakże zrozumieć, że Żydów, którzy rzekomo tak korzystne zajęli miejsca w ustroju dzisiejszym, jednocześnie oskarża się o komunizm, a więc o chęć obalenia tego ustroju w drodze rewolucji?

Kapitalizm prowadzi do sprzeczności, ponieważ sprzeczność, jak stwierdziliśmy wyżej, tkwi u jego podstaw. Uzbraja on narody w karabiny maszynowe i tanki; uzbraja ludzi w pałki i bomby, ponieważ nie może im dać dachu nad głową i chleba. I ponieważ sam widzi swoją bezradność, a przestał wierzyć w to, co dotąd bywało źródłem jego siły: w liberalizm, w wolną konkurencję, w rentowność prywatnego przedsiębiorstwa, w demokrację i parlamentaryzm, a nawet w postęp techniczny, będący niegdyś dźwignią jego potęgi, więc postanowił ratować się środkami pozatechnicznemi i pozagospodarczemi. Postanowił sięgnąć po pomoc do zbrojowni państwa.

Dotychczas od państwa domagał się on tylko trzymania w karbach klasy pracowniczej, ażeby pomniejszyć jej udział w dochodzie społecznym. Poza tem wszakże nie miał nic przeciwko temu, aby zarówno między indywiduami, szefami przedsiębiorstw, jak między całemi narodami odbywało się jak najszerzej pojęte współzawodnictwo.

Odtąd ratunku szuka kapitalizm jedynie na drogach interwencyj państwowych, które przybierać mogą najróżniejszą postać: taryf celnych, kontyngentów przywozu, subwencji, premij eksportowych, dumpingu, a nadewszystko — kartelizacji, tej najtypowszej funkcji monopolistycznego kapitału finansowego. Słowem, można powiedzieć, że cały przemysł, cały handel, całe rolnictwo wielkoziemiańskie dąży do żerowania na skarbie, t. j. do tego, aby z sum podatkowych, płaconych przez ogół obywateli, czerpać środki na pokrycie strat, ponoszonych przy eksploatacji swych przedsiębiorstw.

Stąd to w umyśle możnych sfer finansowych rodzi się dzisiaj świadoma idea pewnej ekonomicznej kolektywizacji całej gospodarki na rzecz kapitalizmu państwowego, pozbawionego form parlamentarnych, a zapewniającego klasie uprzywilejowanej stanowiska kierownicze oraz związane z niemi beneficja. Stało się to już we Włoszech i w Niemczech; to samo staje się w Ameryce; na to samo zanosiło się we Francji, która jednak, w porę spostrzegła niebezpieczeństwo, zwarła szeregi pracownicze i odbiła zamach plutokracji (słynnych „dwustu rodzin"). Niebrak prób narzucenia tej oligarchji pieniądza (przeważnie zagranicznego) i u nas. Na szczęście wszystko wskazuje na to, że szczytowy punkt w natężeniu ruchów faszystowskich Europa a z nią i Polska ma już poza sobą. Włochy na swym przykładzie pokazały, że faszyzm to — wojna i głód. Niemcy zdają się wskazywać, że faszyzm to — głód i wyścig zbrojeń. Są to przykłady dla nas niezbyt zachęcające. Niejeden może w Polsce znalazłby się kandydat na dyktatora, ale gdzież znajdzie się w niej trzydzieści kilka miljonów kandydatów na niewolników?

Bądź co bądź, najzagorzalsi nasi wyznawcy faszyzmu, jak Giertych (Warszawa), lub Cat-Maćkiewicz (Wilno), przysięgają na imię Mussoliniego i Hitlera, ale nie mają odwagi wymienić siebie, gdyż wiedzą, że gdyby przybrali pozy bohaterskie, cała Polska wybuchłaby śmiechem.

Streszczając to wszystko, co powiedzieliśmy wyżej, stajemy wobec zagadnienia: skoro rozkładający się kapitalizm porzuca drogę liberalizmu, aby przeistoczyć się w kapitalizm państwowy; skoro

chce on zawładnąć armaturą państwa zapomocą faszyzmu; skoro urządzenia demokratyczne zdają się być bezsilne, gdy chodzi o zapobieżenie przewrotowi, przygotowywanemu przez kapitalizm, — to na czem polega zadanie demokracji, a w niej całego świata pracy? Jasną bowiem jest rzeczą, że jeśli faszyzm stanowi tylko pewien bojowy uniform schyłkowego kapitalizmu, to nie możemy poprzestawać na walce z faszyzmem: celem wszystkich ludzi dobrej woli, którzy gardzą wyzyskiem i pasorzytowaniem na cudzej pracy, musi być udaremnienie zamachu, planowanego przez bankrutujący, desperacki system gospodarczy.

Jak ów zamach udaremnić!? Jak obronić młodzież od trwałej klątwy bezrobocia, dziatwę od analfabetyzmu, rządy rozumu od rządów mistyki, dziedzictwo kultury nowoczesnej od powtórnego średniowiecza? Na pytanie to niema i nie może być odpowiedzi, którąby zawierała w sobie receptę, wskazującą cudowny środek zbawienia. Aptekę leków cudownych posiadają tylko nasi przeciwnicy; wiemy zaś skądinąd, że leki ich sprowadzają się do narkotyków, obliczonych na znieczulenie mas, aby je tem łatwiej odzierać i grabić. Obrona świata pracy, z którym łączymy się każdą myślą i każdem biciem serca, bo sami cząstką jego jesteśmy, urzeczywistniać się może tylko w łańcuchu solidarnych ale świadomych wysiłków, w którym liczy się nietylko ręce wzniesione w górę i stopy związane rytmem pochodu, ale i — głowy. I nietylko się je liczy, ale i waży. W tym łańcuchu wysiłków jednem z ogniw chce być nowa, odrodzona EPOKA. Ludzie, którzy się pod jej wezwaniem zebrali, osądzili, że nie wolno milczeć — „kiedy gore świat cierpieniem" i kiedy zewsząd „wzbiera czynu fala".

Słowa wielkiego polskiego poety i demokraty, które w tej chwili same nam przyszły na usta, niechaj świadczą, że w poszukiwaniu i wskazywaniu dróg przyszłości Polska nie potrzebuje ślepo zapożyczać się u sąsiadów. Czas, istotnie, położyć tamę tej ponurej niesławie, będącej jakby ostatnim refleksem zaborów, że gdy literatura i publicystyka zagraniczna powołuje się razporaz na wielkie imiona Polaków, w Polsce na forpocztach młodzieży ścierają się ze sobą tylko cudze myśli i obcy wodzowie; gdy u nas w kraju rozlega się wciąż gnuśny lament, że „niema ludzi", wychodźcy lub potomkowie tego kraju zdobywają miejsca w obcych panteonach (Conrad-Korzeniowski, Curie-Skłodowska) lub zasiadają w postępowych rządach obcych potężnych republik (Irena Jolliot, córka Marji Skłodowskiej).

A więc krew polska jest dostatecznie czerwona: nie potrzebuje obcych zastrzyków! A więc mózg polski jest, sam przez się, surowcem o nieocenionej wartości. Polak jest naprawdę gotów do wielkich zadań dziejowych. Potrzeba mu tylko, aby rozwinął swą energję, zapewnić równy start, ludzkie warunki bytu, nowoczesną szkołę, nowoczesne metody pracy, wolność, a przedewszystkiem to, co jest tych wszystkich warunków założeniem i podstawą: unarodowienie i uspołecznienie (t. j. skierowanie na użytek całego narodu) tych źródeł, środków i narzędzi wytwarzania bogactw, które dziś — w starym systemie gospodarki — zbogacają tylko nieliczne grupy uprzywilejowanych.

NA BŁĘDNYCH DROGACH

Prawdę powiedziawszy, i dzisiaj jeszcze, kiedy wyjeżdżam po za Europę i znajdę się naprzykład na rynku jakiegoś miasteczka, otoczona ciżbą ludzi o innych, niż moje, rysach i innym kolorze skóry, przystrojonych fantastycznie (dla mnie) w turbany czy czapeczki — czuję się zaniepokojona. Słyszę inny język, podejrzewam inny obyczaj, niebardzo wiem, czego się mogę po tych ludziach spodziewać. Później odbywam wśród nich długie spacery, na których czuję się osamotniona.

Obawa przed człowiekiem obcej rasy wydaje się być wrodzona i jest uczuciem dość naturalnem, chociaż więc strach przed obcym leży tuż pod skórą, jest on pogłębiony i jakby zracjonalizowany stałym prawie stanem wojny, w jakim znajdują się w stosunku do siebie narody i ludy. Książka generała Ludendorffa „Der totale Krieg" zdaje się usprawiedliwiać wszystkie nasze obawy i jest niezwykłym dokumentem czasu, zwłaszcza, kiedy zechcemy ją porównać z tem, jak sto pięćdziesiąt lat temu wielki reprezentant myśli niemieckiej, Jan Wolfgang Goethe, wykpiwał wojnę. Właściwą więc naszą troską powinno być odnalezienie i najskuteczniejsze zastosowanie sposobów dla walki z prymitywnemi uczuciami nacjonalistycznemi. Nie jest to łatwe najpierw może dlatego, że takie naskórkowe uczucia są bardzo uporczywe i w swojem działaniu do wywabienia trudne, a potem i dlatego, że cała struktura naszych społeczeństw powojennych przeciwstawia się temu wywabianiu. Wojna zniszczyła majątki państw, zbrojne pogotowie pochłania gros budżetu, przynależni do państwa obywatele obarczeni są nadmiernemi podatkami, które w niczem nie wpływają na powiększenie wspólnego majątku i ułatwienie wspólnego wewnętrzno-państwowego życia — rządy, które się w tych warunkach chcą utrzymać, muszą w którąś stronę skierować słuszne zapały i gniewy, idą więc po linji najmniejszego oporu, pogłębiając i wzmacniając na sile uczucia nacjonalistyczne.

Aby usprawiedliwić i umożliwić zbrojenia i budżety wojskowe, trzeba budzić nienawiść i obrzydzać wrogów; aby usprawiedliwić upadek gospodarczy wewnątrz państwa trzeba na kogoś skierować gniew tych, którymi się rządzi. Ludzie innej płci, innego wyznania, innej narodowości — to wszystko jest szereg wrogich sił, z któremi trzeba walczyć. Walka o posady, o wpływy, o utrzymanie się na powierzchni, o utrzymanie się przy życiu mobilizuje tłum przeciwko kobietom (ograniczenia w pracy), potęguje antysemityzm, zbroi przeciw mniejszościom narodowym. Przecież podbój opanowanego terytorjum zaczyna się zawsze od nasyłania legjonu własnych urzędników, jacy natychmiast stają się w tym kraju warstwą najhojniej wynagradzaną, której pensje będą się najdłużej opierały przemianom w czasie, będąc stałym, co miesiąc dostarczanym zasiłkiem, podczas, kiedy ludność tubylcza, opłacająca podatki i podtrzymująca monopole, skazana zostaje automa-

tycznie na dochody niższe, niestałe i ściśle konjunkturalne. Stąd pęd do wolności łączy się najściślej z dążeniem do wyższego poziomu życia, a żądania ekonomiczne znajdują ścisłe pokrycie w ideałach.

Jednocześnie tak naciągane i sztuczne potęgowanie nienawiści, które w gruncie są tylko niechęciami właściwie — pociąga za sobą jeszcze jedną przykrą konsekwencję: prowokuje do wyczynów, które w innych warunkach byłyby niemożliwe. I tak przeciwnicy nacjonalistów, sprowokowani w brutalny sposób do walki, zaczynają dowodzić, że rasa jako taka jest pustem słowem, i że różnic między narodami i ludźmi właściwie niema, że to tylko wymysł szowinistyczny. Nie wydaje mi się, żeby to była właściwa droga, choć jest może w danym wypadku najłatwiejsza — obraża ona jednak zbyt wyraźnie zdrowy rozsądek. Zapewne, o zupełnie czystego przedstawiciela danej rasy jest prawdopodobnie w dzisiejszym stanie rzeczy trudno, kiedy narody tak często zmieniały swoje miejsca, podlegały tak rozmaitym najazdom i wpływom, kiedy wreszcie środki komunikacyjne tak dalece ułatwiają wzajemne stosunki, jednak różnice rasowe i narodowe uwydatniają się jeszcze tak wyraźnie, że ich nie można nie dostrzegać. To też dążenia ludzi rozsądnych nie powinny iść w kierunku wykazywania, że rasy i narody to puste słowo, ale raczej w kierunku wzajemnego zainteresowania właściwościami ras, tak, jak one się dzisiaj przedstawiają, jaknajszerszego wykorzystania tych właściwości dla ułatwienia wspólnego życia i wreszcie w kierunku niwelowania tych różnic, które kolegom i towarzyszom przy pracach na planecie, którą wspólnie zamieszkujemy, mogą się wydawać rażące.

Zapewne folklor (w szerszem dużo rozumieniu, niż się tego słowa dzisiaj używa) małe, czy większe kultury regjonalne, to bardzo piękne i kolorowe sprawy, których przeszłość może i powinna być przedmiotem naszych badań i troskliwej opieki, jednak sztuczne tworzenie, hodowanie i wzmacnianie tych objawów musimy uważać z ogólnego punktu widzenia za szkodliwe. Dlatego, chociaż dzisiaj należy pootwierać klapy i wyzwolić uczucia patrjotyczne, które właśnie będą się wyrażać w forsowaniu własnego języka i obyczaju — nie trzeba zapominać, że to tylko niezbędny etap, który musi stanowić przejście do wyższych form życia zbiorowego, stwarzając klimat wolności, konieczny do starannego, swobodnego i, co za tem idzie, dobrego wyboru.

Dzisiejsza Polska, to nie jest tylko naród, to jest państwo, i z tem trzeba się pogodzić. Państwo to ma obywateli różnych wyznań i różnych narodowości, niektórzy z nich mają, inni nie mają własnych państw i własnych przedstawicielstw narodowych. Niesłychanie prymitywny sposób rządzenia tem państwem jest naturalnie w pewnym stopniu wynikiem warunków i sposobów myślenia wspólnych rządom wszystkich państw, ale to nie może być całkowitem wytłumaczeniem metod. Chcielibyśmy, żeby nasz zbiorowy wysiłek skierowany został ku wypracowaniu metod subtelniejszych i doskonalszych, pozwalających coraz większej ilości obywateli wziąć udział w dobrodziejstwach, które dziś dla większości ludzi są iluzoryczne. Przez wypracowanie metod postępowania zbiorowego poprowadzenie maksymalnej ilości ludzi na maksymalny stopień rozwoju powinno być celem właściwie zorganizowanego państwa.

Nie dla zadośćuczynienia tylko sprawiedliwości, ale rozsądkowi — Polska powinna nadać jaknajszersze autonomje swoim mniejszościom. Decentralizacja powinna być hasłem dnia. Odłączenie kościoła od państwa, zunifikowanie dla wspólnej wygody ustawodawstwa i instytucyj, które mają służyć wszystkim bez wyjątku obywatelom, obok maksymalnego rozszerzenia swobód narodowych (jak wolne nauczanie, prasa, stowarzyszenia) — to będą pierwsze kroki ku podniesieniu naszego życia państwowego na wyższy stopień. Mnożenie męczenników spraw narodowych zatrzymuje całą ludzkość w jej pochodzie ewolucyjnym.

Oczywiście źródłem obaw jest odmienny ustrój naszego sąsiada wschodniego, który podług przewidywań działać musi ze spotęgowaną atrakcją. Obawa ta nie wydaje się w pełni uzasadniona. Nasz kodeks karny nie przewiduje karalności spokojnego zmierzania do przemian, nie trzeba go więc w ten sposób obchodzić, żeby prowokować do wybuchów. Więzienia, pełne przestępców politycznych, to jednak anomalja, którą należałoby zlikwidować jaknajszybciej. Każda zbiorowość ma dość trosk ze zbrodniczemi popędami jednostek, które zresztą dałoby się też przy dobrej woli i wytężonej pracy doprowadzić do minimum. Zapełnianie więzień quasi-przestępcami, którzy zależnie od linji granicznej czy moralności klasowej są materjałem na bohaterów czy świętych, to wyzwalanie potęg irracjonalnych, których nasilenie bynajmniej nie leży w interesie dobrze zorganizowanej zbiorowości.

Przesadne uczucia nacjonalistyczne, to największa przeszkoda w słusznem zorganizowaniu świata. Przy doprowadzeniu ich do minimum inne sprawy zapewne wybiją się na plan pierwszy i układ sił społecznych zbliży się bardziej do doskonałości.

Wanda Melcer.

ODGŁOSY

MOWA PREMJERA

Mowa premjera gen. Sławoj-Składkowskiego wygłoszona na posiedzeniu nadzwyczajnej sesji Sejmu nie była pozbawiona wdzięku oryginalności. Różniła się bardzo od zwykłych exposé, o których p. premjer wyraził się zgryźliwie. Nie sądzimy, żeby normalne „exposé" straciło już wszelką rację bytu, lecz — niewątpliwie — większość owych „deklaracyjnych" i „programowych" przemówień szefów rządu daje się zdyskwalifikować: były to wywody zazwyczaj jałowe, pełne frazesów i „wskazań" optymistycznych, były sklecone z „kawałków", sporządzonych przez poszczególne „resorty", t. j. przez dyrektorów departamentów, naczelników wydziałów i referentów. Przed exposé premjera w różnych ministerstwach gorączkowo przygotowywano „materjał" do mowy szefa rządu i szukano retorycznego natchnienia. Prawie żaden z premjerów nie był autorem swego exposé. W najlepszym razie coś tam dodał od siebie.

Tym razem autorstwo mowy premjera nie ulega wątpliwości. Tak przemówić mógł tylko gen. Sławoj-Składkowski bez niczyjej pomocy.

Dziennikarzy najżywiej zainteresowała część mowy, dotycząca cenzury i konfiskat. Już przed-

tem zauważono, że więzy cenzury zostały nieco rozluźnione, co dla prasy było pewną niespodzianką: artykuły, które nie mogły się były ukazać za gabinetu demokraty Kościałkowskiego, ukazują się bez przeszkód ze strony cenzury za gabinetu gen. Składkowskiego. Nasze życie polityczne jest niewątpliwie intresujące...

Premjer obecny wyjaśnił tę rozsądną zmianę w słowach: „Aby sięgnąć do mas, trzeba wiedzieć, co one myślą i czują. Dlatego też musimy głęboko te rzeczy badać, dlatego zakazałem zarówno masowych konfiskat, jak i masowych aresztowań, bo gdy się masowo aresztuje, to aresztuje się ludzi najbiedniejszych, a gdy się masowo konfiskuje, to znaczy, że rząd boi się wszystkiego, co o nim piszą".

„Trzeba wiedzieć, co one myślą i czują"... Naturalnie. A w tej mierze prasa niesie pomoc niezmiernie cenną, ułatwia orjentację, daje żywszy i prawdziwszy materjał, niż raporty pp. starostów, tych urodzonych optymistów. Raporty szły sobie od starostów do wojewodów, od wojewodów do ministra spraw wewnętrznych, a stąd — „synteza" do premjera, który opierając się na tej lekturze, brnął w ciemnościach, schodził na manowce i oddalał się od aktualnej rzeczywistości politycznej. Stąd też dla „czynników miarodajnych" tyle było niespodzianek. W raportach wszystko było „w porządku", a tu — „ni stąd ni zowąd" — jakieś niepokoje, rozruchy, przykrości... Raporty swoje, a życie swoje... Otóż prasa jest o wiele bliższa życia, niż raporty. Uznał tę starą prawdę premjer gen. Składkowski i dał wskazówkę cenzorom, żeby się trochę uspokoili. Doskonale.

Wolność prasy potrzebna jest nietylko rządowi, żeby wiedział, co myślą i czują masy. Potrzebna jest również społeczeństwu. Ono też wiedzieć powinno, co się dzieje w państwie, jeśli, naturalnie, wychodzimy z założenia, że społeczeństwo nie ma być stadem baranów, nie ma być żywiołem nieodpowiedzialnym, lecz, że — przeciwnie — ma być uświadomione, odpowiedzialne, aktywne, ma być nietylko rządzone, lecz politycznie wychowywane. A o jakiemż to wychowaniu politycznem może być mowa, kiedy cenzor zasłania obywatelowi rzeczywistość? To tak, jakby komuś założyć opaskę na oczach i żądać, żeby kroczył normalnie po ruchliwej ulicy. A właśnie polityczna „ulica" jest dziś bardzo ruchliwa...

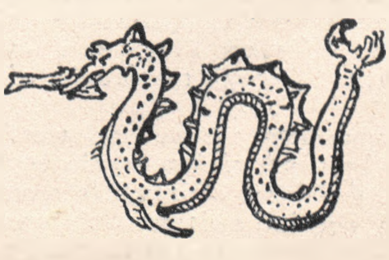
Mowa premjera zawierała parę jeszcze momentów niemniej ważnych.

Naprzykład słowa: „Musimy stworzyć zrzeszenie ludzi karnych, mocnych, podporządkowanych jednolitym dyspozycjom. I muszą to czynić nietylko ci, którzy w roku 1914 czy 18-tym dali dowody karności i patrjotyzmu. Nieważne jest obecnie, co kto robił w 1914 roku. Dziś ważne jest, jak kto myśli i jak kto chce budować Polskę w roku 1936-tym". Te słowa powinnyby się przyczynić do pewnej zmiany w traktowaniu ludzi wartościowych, którzy nie mogą się „wykazać" zasługami wojskowemi. Na wielu polach pracy społecznej i państwowej zasługi wojskowe nie stanowią dostatecznej kwalifikacji. W licznych wypadkach legjoniści łączyli świetność swojej zasługi wojskowej z różnemi uzdolnieniami w pracy państwowej. Ale nie wszyscy. Może nawet nie większość. Do niedawna zaś najważniejszemi, jeśli nie jedynemi kryterjami zarówno w powierzaniu odpowiedzialnych funkcyj państwowych, jak w zatrudnianiu ludzi wogóle było to, czy mieli zasługi wojskowe, czy nie mieli. Panował tu przywilej często nieuzasadniony. Nawet bardzo często. Zasługa niewojskowa nie była oceniana należycie. Podział pracy nie był prawidłowy, co musiało się odbić na funkcjonowaniu całej machiny państwowej. Tak: „Dziś ważne jest, jak kto myśli i jak kto chce budować Polskę w roku 1936-tym".

P. premjer odgrodził się mocno zarówno od krańcowej lewicy, jak i krańcowej prawicy. Nieprzyjaźń dla pierwszej jest całkiem zrozumiała i nie wymaga komentarzy. Skrajna prawica została scharakteryzowana w sposób dosadny: „Mój rząd nie zwróci się również do skrajnej prawicy, która lokowała kiedyś swoje narodowe ideały w cieniu kolosa carskiej Rosji, która po rozpadnięciu się tego kolosa nie znalazła bardziej współczesnego i bardziej realnego w tej chwili symbolu, niż piękny kiedyś i groźny Szczerbiec Chrobrego. Sama jednak ten Szczerbiec Chrobrego zmniejszyła do pojęcia mieczyka, noszonego w klapie marynarki, a urealnieniem tego symbolu uczyniła bicie Żydów". I dalej: „Mój rząd uważa, że w Polsce krzywdzić nikogo nie wolno, podobnie, jak uczciwy gospodarz nie pozwala nikogo krzywdzić w swoim domu. Walka ekonomiczna — owszem, ale krzywdy żadnej". Z tych słów ostatnich endecja — jak to widać w interpretacji mowy premjera w licznych gazetach żydożerczych — wyprowadza miły dla siebie wniosek, że p. premjer usankcjonował akcję bojkotową. Owo głośne już „owszem" interpretuje endecja po swojemu. Nie należy chyba sądzić, by szef rządu, zastrzegający się przeciw krzywdzeniu kogokolwiek w Polsce, chciał udzielić placet bojkotowi, t. j. krzywdzeniu części obywateli Państwa Polskiego. Skrzywdzonym jest nietylko obywatel fizycznie pobity, ale również — zagłodzony. Prawdopodobnie p. premjer miał na myśli zgodną z prawem i konstytucją rywalizację ekonomiczną poszczególnych warstw równouprawnionych obywateli. Ruch współdzielczy, naprzykład, wypiera sklepikarstwo zarówno żydowskie, jak i katolickie. Akcja zaś bojkotowa i nieuchronnie towarzyszące jej ekscesy, nie jest zgodna ani z praworządnością ani z konstytucją.

Dużo rozmów toczyło się w naszym świecie politycznym na temat spraw, przez p. premjera nieporuszonych. Istotnie w mowie swej premjer Składkowski pominął szereg kwestyj i zagadnień palących, w najważniejszych zaś sprawach naszego życia gospodarczego wstrzymał się od bliższych precyzyj, powierzając ten trud wicepremjerowi Kwiatkowskiemu.

J. W.



RUCH ODRODZENIOWY NA WSI

Włościanie obchodzą swoje święto ludowe w dnie Zielonych Świątek. W roku bieżącym udział chłopów w tem święcie był ogromny i wyraził się w liczbie ponad miljon uczestników. Do wyznaczonych organizacyjnie wielu miejscowości ciągnęły pochody ze sztandarami, poprzedzane oddziałami cyklistów, banderją konną i orkiestrami. Obchody tegoroczne przeobraziły się w demonstracje świadomości i siły chłopskiej, mocno skupionej, zwartej, ale tak trzymanej na wodzy, że chociaż zgromadzenia wynosiły nieraz kilkadziesiąt tysięcy ludzi, — nigdzie jednak spokój nie był zakłócony. Najgęściej manifestowały gromady chłopskie w Małopolsce, gdzie np. do Jasła zbiegło się 30 tysięcy ludzi, do Limanowej ponad 50 tysięcy, do Łańcuta 15 tysięcy, Jarosławia 45 tys., Tarnowa 30 tys., Przeworska 20 tys., Nowego Sącza 40 tys. Niektóre miasta nie mogły pomieścić w swych murach i na swych placach tak wielkich skupień ludzkich, musiano więc przenieść obchody na okoliczne błonia, jak np. w Rzeszowie, dokąd przybyło ponad 60 tysięcy włościan.

Trudno jeszcze w tej chwili na podstawie pierwszych sprawozdań odtworzyć dokładnie i w prawdziwych barwach te olbrzymie, chłopskie żywe obrazy w pochodzie, — jednakże już dziś stwierdzić można, że tegoroczne ludowe święto wiosny zaświadczyło wymownie o wielkim, samodzielnym ruchu odrodzeniowym gromady włościańskiej.

KŁAMSTWA «I. K. C.»

Ilustrowany Kurjer Krakowski, przerażony pogłoską o uchwale przystąpienia Warszawskiego Oddziału Związku Nauczycielstwa Polskiego do Centralnej Komisji Związków Zawodowych, — uderzył na trwogę w delatorskim artykule pod wymownym tytułem: „Konsolidację społeczeństwa rozbijają agitatorzy partyjni". Rewolwerowe podtytuły tej denuncjatorskiej elukubracji, mającej zgęścić kolory tej zbrodni, — brzmią: „dygnitarze związku nauczycielstwa polskiego pchają nauczycielstwo do organizacyj socjalistycznych", „katastrofalne dla wychowania młodzieży skutki samowładztwa dygnitarzy związkowych", „czelność dalszego prowokowania opinji publicznej" i t. d. Z patosem zbawców narodu zgorszeni dedektywi ostrzegają przed próbami „wszczepiania jadu bolszewickiego w duszę młodzieży" (!).

Czy jakiekolwiek szanujące się pismo może poważnie polemizować z tym stekiem bzdurstw? Zwłaszcza, że sama denuncjacja opiera się na niesprawdzonym uprzednio fakcie, albowiem naprawdę walne zebranie oddziału warszawskiego w dn. 7.VI. r. b. uchwaliło jednomyślnie zwrócić się do Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego, aby ten zorganizował wspólnie z wszystkiemi związkami zawodowemi, zarówno pracowniczemi, robotniczemi, jak i chłopskiemi, — nie wyłączając Centralnej Komisji Klasowych Związków, — jednolity front *jedynie w obronie oświaty powszechnej.*

Ale przypuściwszy nawet, że wersja pierwsza tej uchwały była prawdziwa (a nie jest), to i tutaj nos tajnych dedektywów zawiódł sromotnie, bowiem żaden oddział związku ani nawet jego zarząd główny niema prawa powziąć w tym przedmiocie uchwał obowiązujących, lecz ma je tylko Walny Zjazd Delegatów wszystkich oddziałów nauczycielstwa z całej Polski.

Jednak nawet dla niewtajemniczonych jasną jest rzeczą, że pocisk I.K.C. wymierzony był nie w tendencje socjalistyczne tej lub innej grupy nauczycielstwa, lecz w samą organizację zawodową nauczycielstwa polskiego.

«NIESPRAWIEDLIWE WYRZUTY»

Wiadomości Literackie ośmieszyły w sposób dowcipny praktyki handlowe antysemickiego *Gońca* warszawskiego. Ziejąc nienawiścią do żydów, *Goniec* jednocześnie drukuje na swoich łamach żydowskie ogłoszenia. Gromiąc nadto jakieś nowe oszukańcze pomysły żydowskich konkursów, jednocześnie reklamuje u siebie za żydowskie pieniądze owe właśnie oszukańcze konkursy.

„Goniec" naśladuje zresztą inne pisma żydożercze, które uprawiają ten sam dochodowy proceder. Przez długi czas nie mogły one rozwiązać jednego zadania: co zrobić, ażeby brać pieniądze za prenumeratę antysemickich poglądów, a jednocześnie nie tracić pieniędzy za semickie ogłoszenia?

Warto więc przypomnieć, jak przed laty rozwiązał to zadanie krakowski „Głos Narodu", brat sjamski warszawskiego „Gońca". Otóż pewnego dnia zamieścił tam ogłoszenie nauczyciel buchalterji, chrześcijanin, a jednocześnie ogłosił się w tem samem antysemickiem piśmie jego konkurent, żyd. Buchalter-chrześcijanin z oburzeniem zareklamował: „Jakto, głosicie wyzwolenie się od żydów, ja umieszczam u was ogłoszenie, mając nadzieję, że będę zabezpieczony od mojego współzawodnika żyda, a wy tymczasem i jego ogłaszacie." Wtedy *Głos Narodu* dał odpowiedź zupełnie szczerą i usuwającą wszelkie na przyszłość „wątpliwości". Odpowiedź, dana zgorszonemu buchalterowi brzmiała dosłownie tak: „Dział inseratowy niema nic wspólnego z programem dziennika i powinien być traktowany jako zwykły interes handlowy, jeżeli zaś nie umieszcza się żydowskich anonsów, to tylko *ze względu na ludzi ograniczonych,* którzy uważają tendencję dziennika i dział ogłoszeń za jedną całość, robią nam z tego powodu *niesprawiedliwe wyrzuty.* Na szczęście jednak ludzi tego rodzaju jest niewielu, a przykro nam bardzo, że WPan do ich rzędu należy...". Widać, że „Goniec" uznał za przykładem swego krakowskiego kolegi — iż domagać się bojkotowania żydów i żądać konsekwentnego przeprowadzenia programu antysemickiego mogą tylko „ludzie ograniczeni"..

PO PRZYTYKU I MIŃSKU MAZOWIECKIM

Mieczysław Niedziałkowski pisze w *„Robotniku":*

„Prasa t. zw. narodowa wytwarza swemi sprawozdaniami wrażenie, że oto Żydzi stoczyli w tym Przytyku walkę zbrojną z chrześcijanami; toczył się tam jakiś bój! — bo ja wiem! — dwóch narodów, dwóch wyznań, dwóch ras!... Bardzo podobnie ujęto z tej samej strony tragiczne zajścia w Mińsku Mazowieckim: „Żydzi zabili polskiego ułana"; i chociaż nikt, jak dotąd, nie przeczy, że śmiertelne strzały padły na tle czysto osobistego zatargu, zaczęło się bicie masowe ludzi zgoła i ponad wszelką wątpliwość niewinnych, zaczęły nawet płonąć domy...

„Część mieszczańskiej prasy żydowskiej przyjęła w gruncie rzeczy tezę zasadniczą obozu „naro-

dowego"; owszem, to była walka „Żydów" i „Chrześcijan"; jakgdyby spór toczył się tylko o to, kto pierwszy zaczął.

„My takiej tezy wogóle przyjąć nie możemy. Jeżeli Polska wkroczy na drogę wewnętrznych walk narodowościowo-wyznaniowych, uczestnicy tych walk będą rozsadzali Państwo od wewnątrz, zupełnie obojętne, który „królik pierwszy zaczął" w miejscowości „X" czy w miejscowości „Y".

„Ze wszystkich zatem punktów widzenia występuje na jaw słuszność naszego zasadniczego ujęcia sprawy:

1) bezpośredni winowajcy zajść stoją przed sądem; kto ponosi winę i jaką winę, — o tem rozstrzygnie sąd;

2) tendencyjne sprawozdania z sali sądowej są robotą, szkodliwą dla Polski, — i to bardzo szkodliwą;

3) próbom powtarzania a tem bardziej „rozwijania" czy „pogłębiania" metod Przytyka albo Mińska Mazowieckiego klasa robotnicza Polski a wraz z nią cała uczciwa i mająca poczucie odpowiedzialności opinja publiczna muszą się przeciwstawić z podwójną energją i stanowczością.

Nie wolno pozwolić, by Polska przeobraziła się — akurat w obliczu niesłychanie trudnych zagadnień społeczno-gospodarczych, politycznych i kulturalnych — w teren narodowościowo-wyznaniowej stałej wojny domowej."

Całkowicie podzielamy to stanowisko.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

MICHAŁA SOKOLNICKIEGO ROMANS Z POLSKĄ

Świeżo wydany przez Instytut Badania Najnowszej Historji Polski tom wspomnień Michała Sokolnickiego p .n. „Czternaście lat" (1898—1912) jest rodzajem „vie romancée", której autor jest jednocześnie jej bohaterem.

Co za autor! ale i co za bohater! Czytając tę wymowną książkę, pisaną stylem gładkim i potoczystym, nie można oprzeć się wrażeniu, że nigdy autor nie był głębiej zakochany w swoim bohaterze, bohater nigdy nie pozował wdzięczniej, kiedy żywot jego spisywał. Sokolnicki, pragnąc jakby ustopniować emocję, wywołaną w historji pojawieniem się znakomitej osobistości, nie odrazu wprowadza postać swoją na arenę zdarzeń. Opis swego dzieciństwa i lat młodocianych poprzedza obrazem bogato rozwiniętej kroniki rodowej i familijnej; kroniki, w której ciotka Michalina ma swą rolę odrębną obok stryjenki Zofji, bliżsi krewni i powinowaci obok kuzynów dalekich i — najdalszych... z ośmnastego wieku.

Sentyment i przywiązanie do koligacyj rodzinnych, tak znamienne dla sfery ziemiańsko-szlacheckiej, zapatrzonej w przeszłość swoich fortun, żyją w duszy Sokolnickiego wątkiem nieprzedawnionej tradycji i odzywają się przy każdej sposobności, na każdej niemal karcie jego wspomnień. Nie nadwątliła tego wątku ani nowoczesna szkoła demokracji, ani nawet szkoła rewolucji, w której młody „syn szlachecki", pociągnięty przykładem Józefa Piłsudskiego, wziął na chwilę czynny choć oględny udział.

Nie znaczy to bynajmniej, aby Sokolnicki nigdy nie buntował się przeciw samolubnemu światkowi, z którego wyszedł, przeciw ziemiańskim dworom i dworkom, przeciw rozmarzonej przeszłości i mętnej rzeczywistości szlacheckiej. Gdy skończyły się — jak sam wyznaje — fantasmagor dziecinne, wzięte ze starych portretów i z powieściowych baśni o szlachcie „mającej ziemię, bo obowiązanej do rycerstwa", musiał uderzyć go klasowy przedział, istniejący między dworem a wsią chłopską. Musiała zatrwożyć go pustka społeczna, ziejąca z tych przepaści, jakie się wytworzyły między warstwami; egoizm sfery posiadaczy, dbających przedewszystkiem o uzyskaną przewagę swych interesów.

Widok uprzywilejowanego a gnuśnego środowiska, w którem żadna nie zapalała się iskra czynu narodowego w imię wolności i postępu, budził niekiedy w Sokolnickim, gdy z obcych, dalekich stron wracał do gniazd rodzinnych, nagłą chęć rozsadzenia form dawnych, kazał mu tęsknić za jakimś wybuchem rewolty i wołać o mocną wiarę społeczną.

Ale pragnienie wybuchu gasło w duszy młodzieńca równie szybko, jak szybko się w niej rodziło. Wiara zaś społeczna, której potrzebę odczuwał, nie mogła oblec się w kształt imperatywu i konała bezpłodnie na łonie bądź wykwintnego epikureizmu, bądź melancholijnego hamletyzowania. Ilekroć, niby żywy, niepokojący skrupuł, stawała na jego drodze doktryna i metoda socjalizmu, będąca już wtenczas, przed laty 30-stu, tak potężną dźwignią odrodzenia ludu polskiego, odtrącał ją szlacheckim gestem zniecierpliwienia, odrazy lub gniewu. „Osobiste przemyślenia — powiada — odprowadzały mię daleko od suchej i tchnącej pospolitością doktryną materjalizmu dziejowego, poronionej u Marxa, skleconej w paragrafy przez Engelsa i Kautsky'ego, będącej wówczas alfą i omegą socjalistycznego myślenia". Te „osobiste przemyślenia", tchnące zaiste niefrasobliwą atmosferą wiejskiego dworu, a stawiające Marxa, jednego z potężnych twórców myśli ludzkiej na równej stopie z Kautsky'm, bakałarzem popularyzacji, jakże charakterystyczne świadectwo wystawiają Sokolnickiemu i jego kryterjom! Ten wzgardliwy pogromca marksizmu nie spostrzegł, że można postokroć obalać lub odtrącać ideę socjalistyczną; nie znaczy to przecież, aby usunęło się z widowni życia zagadnienia, które socjalizm po raz pierwszy postawił i sformułował. Zarówno w swej postawie społecznej, jak w ogólnej swej postawie wobec życia Sokolnicki jest nietyle twórcą lub poszukiwaczem treści, ile poszukiwaczem formy: artystą własnych przygód, smakoszem przeżyć wyszukanych, herosem, który przymierza się do pjedestału. Ten estetyzujący wojażer i romantyczny pielgrzym, kolekcjonujący klejnoty wrażeń, jak etykiety na walizach, ze wszystkich stolic Europy, ani razu nie zadał sobie pytania, skąd płynęły środki materjalne, umożliwiające mu malownicza włóczęgę po świecie, która tak wybredną strawę dawała jego uczuciom. A może niechęć do

„pospolitej" doktryny materjalizmu dziejowego była w nim właśnie zamaskowaną odrazą do spojrzenia pytaniu temu prosto w oczy?

Mniejsza o to. Rzeczą ważną jest to, że w pewnym momencie swej artystycznej włóczęgi, przeplatanej zwiedzaniem archiwów i pisaniem sonetów, Sokolnickiego droga życia przecięła się z magistralą naszej przełomowej epoki: z drogą, na której Piłsudski w imię Polski ludowej walczył z caratem.

Wojażer, uganiający się za wrażeniem, pozyskał dzięki temu spotkaniu temat, który stał się na czas pewien treścią jego zainteresowań. Prądy wielkich zadań dziejowych zaszumiały w myślach, które dotąd oplatały się wokół wątków, snutych z wyobraźni, lub odgrzebywanych spod popiołów.

Zmieniły się zainteresowania Sokolnickiego, ale nie zmieniła się jego natura, nie zmieniła się jego bezpłodna postawa wobec świata i Polski, którą ciągle ma na ustach, ale dla której nie poniósł w życiu najmniejszej ofiary: jest to postawa rozkosznika-sybaryty, urodzonego emeryta nigdy niepołożonych zasług, który, jakkolwiek młodość spędził w drużynie ludzi, ze śmiercią „chadzających pod pachą", ustrzegł się ich ryzykanctwa i nie zaraził się ich bohaterstwem.

Jeśli o kim, to o nim rzec można, że już przed 25 laty, pod siwym mundurem strzelca na błoniach krakowskich nosił serce przyszłego dostojnika „sanacji" w trzecim stopniu służbowym z prawem do własnej limuzyny i sekretarki.

Civis.

ZWIASTUN HUMANIZMU.

Erazm z Rotterdamu, żyjący na przełomie dwu epok, sławny myśliciel-humanista, cichy samotnik, stanowił doniedawna jakby niejasne wspomnienie przeszłości z okresu narodzin Reformacji. Erazm, ów niestrudzony, wieloletni, aż do zgrzybiałej starości rozjaśniacz mroków — wydaje się na tle dzisiejszej Europy jakby bliższy i bardziej zrozumiały, zaś jego potępienie teroryzmu ciemnoty i fanatyzmu nabiera wyrazu współczesnej rzeczywistości.

Erazm z Rotterdamu, pod piórem wnikliwego pisarza*) zjawia się jako zwiastun humanizmu, którego duchem pragnął zespolić Europę. Wizerunek Erazma, jako człowieka, staje się w książce bardzo plastyczny, o kształtach posągowych, wykonany niby przez rzeźbiarza, który z niewyraźnej bryły świetnemi i celowemi uderzeniami artysty wyczarowuje podobiznę, pełną życiowego wyrazu.

Stefan Zweig jest tutaj niezmiennie przedmiotowy i pragnie jedynie spełniać czynność portretowania Erazma, dbając o prawdziwe i wierne oddanie oblicza myśliciela na tle epoki, ani nie upiększając jego rysów, ani też, przeciwnie, nie przyćmiewając wad, słabostek i braków duchowych renesansowego humanisty.

Ale dla współczesnego bojownika wolności Erazm nie jest postacią porywającą, płomienną, wyprzedzającą daleko pochód ludzkości. Jestto raczej przemyślny mnich średniowieczny, który żywiąc w głębi swej duszy trwałe uczucie wzgardy dla otaczającego świata przywileju, przesądu, obskurantyzmu, przemocy, chciwości, tylko chyłkiem pragnie przemycić swe dalekosiężne idee humanizmu. Słabej kompleksji fizycznej, w przeciwieństwie do współczesnego mu dobrze odżywionego Marcina Lutra, — Erazm nie posiada warunków do odegrania wielkiej, rozstrzygającej roli dziejowej, ani do przebycia przebojem krzyżowej apostolskiej drogi w szatach humanisty. Erazm, autor drwiącej, pełnej ironicznych uśmieszków *Pochwały Głupoty* niema w sobie nic z męczennika, bohatera, posłannika, nie znosi otwartej przestrzeni i walki z odkrytą przyłbicą, jest tylko drżącym z zimna molem książkowym, miłującym spokój, samotność i półmrok zacisznych bibljotek. Gardzi władczem oddziaływaniem na życie, w rozstrzygających chwilach dziejowych kryje się wśród stosów foljałów, wtedy właśnie, gdy rozkołysane, wrzące namiętności polityczne i wierzenia religijne wzywają go na forum świata. Na tle tedy olbrzymiej, dymiącej panoramy Reformacji, pozostaje Rotterdamczyk w cieniu, w bezpiecznej samotności, przypatrując się z oddali jak inni wielcy protagoniści spełniają swe dziejowe, tragiczne przeznaczenie: Hus ginie w płomieniach stosu, Sawonarola na florenckiej szubienicy, Servet — pieczony w ogniu przez Kalwina, Tomasz Münzer ponosi męczeńską śmierć, porozrywany rozpalonemi kleszczami, Tomasz Morus i John Fisher katu oddają głowy na pieńku, Zwingli ginie na płaszczyźnie Kapelu pod uderzeniami pala, nabijanego żelaznemi kolcami. W szale i konwulsjach obłędu religijnego giną w ekstazie wielkie tragiczne postacie przełomowej epoki, jeden tylko Erazm z Rotterdamu pilnuje spokojnie arkuszy swych książek w bazylejskiej drukarni. Prawdy, które głosi nie są objawieniami, są jedynie świadectwem rozpiętości jego chłodnego umysłu i stanowią światła, rozjaśniające ponure mroki średniowiecza. Książki uważał za jedyny sposób porozumiewania się z rzeczywistością i uznawał je za wyłączny przywilej ludzi wykształconych, otoczonych zewsząd przez żywioły zacofania, obskurantyzmu i ciągle narażonych na skutki samowoli i bezprawia. Kochał więc tylko książki, gdyż one są „ciche, nie uprawiają przemocy i są niedostępne, niezrozumiałe dla tłumów".

Jednakże z wyżyn swego arystokratyzmu ducha Erazm nie przestał głosić do końca dni swoich zasady jedności europejskiej, nie bacząc na to, że jego humanistyczne rojenia o wyrównaniu i zniesieniu przeciwieństw w duchu sprawiedliwości, oraz jego marzenia o zespoleniu wszystkich narodów pod znakiem dostojeństwa człowieka, ginęły w ogniu namiętności wyznaniowych, fanatyzmu i obłędu religijnego Europy ówczesnej. Zuchwała nauka Niccoli Machiavellego triumfować zaczynała już nad konającą ideą rzeczypospolitej duchowej i spłynęła jako szydercze widmo nad wezgłowie dogorywającego w Bazylei Erazma z Rotterdamu.

Przekład zasługuje na wyróżnienie, oddaje nienaganną polszczyzną ducha książki, pełnej polotu poetyckiego.

St. Brew.

POWIEŚĆ PRZEKORNA*).

„Gruce" nie są powieścią łatwą. Powiedzmy to na wstępie, otwarcie. Stanowi to równocześnie i zaletę i pewien niedobór utworu. Niedobór pod względem, że tak powiemy handlowym, bo na ogół czytelnicy nie lubią się męczyć i lgną chętnie do rzeczy

*) *Stefan Zweig: Triumf* i *Tragizm Erazma z Rotterdamu.* Autoryzowany przekład R. Centnerszwerowej. Warszawa, 1936 Wydawnictwo J. Przeworskiego.

*) *Anna i Jerzy Kowalscy:* „Gruce". Warszawa 1936. Nakład F. Hoesicka.

łatwych, wyrażanych w sposób ustalony, konwencjonalny. Ale właśnie w „Grucach" niema zgoła tego konwencjonalizmu — i to jest właśnie ich główną zaletą. Powieść ta nie liczy się z wygodą, ani z nawykami czytelnika. Pragnie, aby umiał zejść z gościńca i zechciał spróbować ścieżek niewydeptanych i nieraz dosyć niewygodnych, — i to nie na bylejakiej przestrzeni, gdyż utwór dwutomowy, o którym mówimy, ma około 1300 stron druku. Właśnie ta nieustępliwość artystyczna i ta twardość w stosunku do konsumenta są dowodem ambicji autorskiej, pragnącej stworzyć coś możliwie nowego w literaturze.

Powieść cała rozgrywa się we Lwowie i na wsi, i to przedewszystkiem gdzieś na południu, w okolicach nad Dniestrem oraz w Karpatach. Odcinek Lwowa, stanowiący teren powieści, określić można zupełnie dokładnie. Autorzy patrzą na miasto przenikliwie, ostro i konkretnie, — i to jest również cechą zarówno wszelkich ich opisów przyrody, jak i sposobu prowadzenia akcji i charakteryzowania bohaterów.

O ile o pejzaże chodzi, to pierwszeństwo przed opisami miejskiemi należy bezwzględnie oddać opisom przyrody nad Dniestrem. Pręży się tu i rozwija jakaś nadmierna, jakby subtropikalna bujność. W opisach tych niema specjalnego rytmu, uniesień, ani zachłystywań. Piszący patrzą na przedmiot swój trzeźwemi oczyma i dbają o to, aby wynik tych obserwacyj sformułować w sposób możliwie oryginalny pod względem treści i formy. Męskie, jędrne zdania ukazują i obnażają każdą rzecz i objaw najdrobniejszy na nowo, na swój sposób.

Dbają o nagromadzenie jak największej ilości nowego materjału faktycznego — i o sformułowanie tego w sposób pod względem stylistycznym, własny i oryginalny.

„Gruce" są w dużej mierze powieścią przekorną, powieścią opozycyjną, tak pod względem literackim, jak kulturalnym, są nagromadzeniem rozmaitych sprzeciwów, różnych „anty" — na rozmaitych terenach akcji, na wszystkich niemal kartach utworu. „Gruce" przeciwstawiają się temu co zastali na gruncie zarówno rzeczywistości, jak literatury, na terenie tak treści, jak formy.

Ludzi, występujących na kartach „Gruców", poznajemy zzewnątrz, obserwujemy ich chwilowe reakcje, miny i gesty, czytamy zwięzłe, nieraz urywane biuletyny o ich dziejach materjalnych i duchowych. Niema tu syntetycznego a równocześnie uczuciowego tła, tworzącego zarówno perspektywę, jak atmosferę i rytm. Jak widzowie ulokowani w fotelach teatralnych obserwujemy postaci i fakty przesuwające się w sposób jasełkowo-kronikarski na froncie sceny, notujemy ich gesty i słowa, przyjmujemy do wiadomości ich dzieje i reakcje. I właśnie ta niechęć do syntezy i sentymentów wpływa na obfitość tej kolekcji zaobserwowanych typów i nowych stylistycznych eksperymentów.

Jeden tu możemy zanotować wyjątek — i pozwalamy sobie zapisać go na konto wybitnego udziału pióra żeńskiego w tej autorskiej spółce. Proszę wybaczyć, ale tak już jest, że kobiety piszące lubią pisać o sobie, a opisując same siebie, ze wzruszeniem przypatrują się sobie w czarodziejskiem, uszlachetniającem i upiększającem zwierciadle sztuki. Tutaj surowy nauczyciel, prawdomówny, niewzruszający się niczem realizm dał dyspensę — i dzięki temu bohaterka powieści, Malina Bratkowska, żyje w jakiejś specjalnej atmosferze względów, sympatji, wyrozumiałości a może nawet cichego uwielbienia.

Ale pozatem świat „Gruców" jest ponury, trudny, brutalny i pozbawiony upiększających perspektyw. Tematem ich jest społeczeństwo, które się przeprowadza, szuka miejsca, rozmieszcza na nowo swoje punkty ciężkości — i samo jeszcze nie wie, w jakim to wszystko ma zmierzać kierunku. Zaginęły dworki białe, zeszło z widowni poczciwe mieszczaństwo i nieświadome niczego chłopstwo. Zatarły się różnice klasowe. Intruzi, pochodzący z góry i pochodzący z dołu wtargnęli wszędzie, wymieszali wszystko i upodobnili do siebie tak, że resztki przesądów czynią tembardziej wrażenie nieusprawiedliwionej niczem karykatury.

Społeczeństwo przeprowadza się wiadomo skąd, a niewiadomo dokąd i na kartach Gruców pozostawia swój bezlitosny pamiętnik. A równocześnie na końcu Malina wychodzi za mąż za sfatygowanego arystokratę. Problemy zostały dopiero postawione, a odpowiedzi nie otrzymaliśmy. I dlatego oczekujemy dalszego ciągu, zarówno dziejów Maliny jak i problemów, zataczających szersze, społeczno-obyczajowe kręgi. Długa powieść bowiem kończy się nie kropką, lecz wieloma kropkami i znakiem zapytania.

Dr. W. Jampolski.

PRZEMIANY W Z. S. R. R.

Pani Helena Izwolska — córka b. ambasadora carskiego w Paryżu — stała się francuską pisarką. Napisała monografję Bakunina, a wspólnie z Kesslem utwór p. t. „Królowie - Ślepcy" (Les rois aveugles) — rzeczy o dużej wadze gatunkowej.

Zestawiwszy nazwisko autorki z tytułem ostatniej jej pracy „Człowiek roku 1936 w Rosji Sowieckiej"*), spodziewać się było można nietylko nieprzejednanie wrogiej, ale i jednostronnej postawy wobec ustroju sowieckiego i przejawów tamtejszego życia. Niewątpliwie sympatje p. Izwolskiej nie są po stronie komunizmu, ale mowa jej nie jest bełkotem nienawiści, a oko jej nie jest przesłonięte bielmem uprzedzeń klasowych ani politycznych. Autorka nie widzi samych tylko czarnych barw, widzi to, co jest w rzeczywistości, nie zaś to, co chciałaby zobaczyć, lub to, co zgóry założyła, że zobaczy.

Jest prawdą niezaprzeczoną, że ustrój sowiecki uległ już wielkiej i znamiennej ewolucji. Jakaż to siła skłoniła do zaniechania pierwotnego planu, według koncepcji czystego marksizmu? Głęboka wiara w istnienie jakiejś bezwzględnej prawdy społecznej i poszukiwanie tej prawdy jest jedną z cech zbiorowej duszy rosyjskiej. Potężny aparat dyktatury okazał się niezdolnym do przekształcania prawdziwego oblicza narodu. Rosja, pisze p. Izwolska, ma swoje własne przeznaczenie i nie poto rozpadł się dawny ustrój, aby na jego miejsce miał być narzucony ustrój komunistyczny, lecz poto, by wytworzyć „własny ustrój pod znakiem odrodzonego chrystjanizmu".

Mowa Stalina, wygłoszona w styczniu 1934 r. na XVII Kongresie partji komunistycznej była pierwszą jaskółką odprężenia. Opór mas chłopskich przeciw kolektywizacji, stosowanej od r. 1929 w najbezwzględniejszej formie kolektywów, nie dał się złamać żadnemi represjami, co zmusiło rząd do przestawienia polityki rolnej na inne tory. Wysunięto koncep-

*) *Helena Izwolska:* L'homme 1936 en Russie Sovietique. Desclėede Brouver et Cie, éditeurs, Paris 1936. Str. 122.

cję tradycyjnej rosyjskiej „artieli", którą Stalin uznał za jedyną możliwą formę ruchu kolektywnego, gdyż jednoczy interesy osobiste pracowników kolektywów z interesem społecznym. W słowach jego przebija już — według p. Izwolskiej — pewne uznanie praw jednostki, obce dotąd ortodoksyjnemu marksizmowi.

To przemówienie Stalina było ustępstwem wobec niezłomnego oporu mas chłopskich, okupionego miljonowemi ofiarami głodu i kaźni, a jednym z jego skutków było znaczne złagodzenie form spółdzielczości rolnej.

W tym samym czasie, gdy opór chłopów zmusił rząd do zmiany praktyki rolnej, rozegrała się również epopeja „Czeluskina". Zarówno pełna męstwa, zimnej krwi, poświęcenia i dyscypliny postawa rozbitków, jak i bohaterska odsiecz lotników sowieckich, zrodziły w obywatelach Z. S. R. R. uczucie zrozumiałej dumy. W entuzjazmie, który ogarnął cały naród, znalazło ujście uczucie patrjotyczne, długo tłumione przez ortodoksyjny marksizm. Dynamika tych uczuć była tak potężna, że Stalin uznał za wskazane wyjść im naprzeciw, ulegalizował je, tak samo jak poprzednio dostosował swą politykę rolną do oporu mas włościańskich. Do prof. Szmidta, kierownika ekspedycji „Czeluskina", dyktator wystosował depeszę, w której po raz pierwszy użyty został wyraz „ojczyzna". Odtąd pojęcie „ojczyzny sowieckiej", uzyskuje w Z. S. R. R. prawo obywatelstwa. Patrjotyczny entuzjazm tłumów został skierowany w łożysko triufmalnych państwowych uroczystości sowieckich, związanych z ocaleniem i powrotem do kraju bohaterów epopei.

Opór włościan przeciw kolektywizacji i poryw patrjotyzmu z powodu ocalenia załogi „Czeluskina" stały się punktem wyjścia sowieckiego humanizmu. Tej ewolucji ideowej towarzyszy wiele wewnętrznych przemian gospodarczych i politycznych. Następuje szereg radykalnych posunięć, jak zniesienie wszelkich kart żywnościowych, nowelizacja statutu Kołchozów, rozwiązanie stowarzyszenia „Starych Bolszewików", reforma szkolna, równająca w prawach dzieci nieproletarjackie z proletarjackiemi, reforma prawa małżeńskiego i podniesienie znaczenia rodziny, likwidacja Torgsinu itd. Oto wiązanka najważniejszych zmian, dokonanych w ciągu jednego tylko roku 1934/35 w dziedzinie humanitaryzacji ustroju i życia. W tymże czasie Stalin, w mowie do abiturjentów Akademji Wojskowej podkreśla zasadę poszanowania Człowieka, nawet jeśli nie jest komunistą, przywracając tym zwrotem godność ludzką człowiekowi w Sowietach, bez względu na to, czy jest, czy nie jest ortodoksyjnym marksistą. „Twarzą do Człowieka" — oto hasło nowej polityki.

Te zmiany — twierdzi p. Izwolska — są rezultatem głębokich przetrawień sumienia narodowego. Wola narodu znalazła sposób narzucenia swojej własnej linji generalnej, którą oficjalna władza zmuszona była uznać i legalizować.

Na kongresie pisarzy sowieckich we wrześniu 1934 r. humanizm sowiecki przyczynia się do zbliżenia z pisarzami Zachodu, mimo że humanizm tych ostatnich tkwi korzeniami w chrześcijaństwie, a sowiecki kiełkuje w materjalizmie i w walce klas. Poeta Surkow, dostrzegając różnicę, podkreśla, że na istotę humanizmu składać się powinny nietylko uczucia miłości, radości i dumy, ale upomina się o czwarty element, — nienawiści. W dalszej swej ewolucji humanizm sowiecki coraz bardziej łagodzi jednak akcenty nienawiści i walki klas, rojąc blizki świt złotego wieku, ludzkości bez klas, a więc i zaniechanie walk.

Błędem byłoby twierdzić — konkluduje autorka — że w Z. S. R. R. niema wcale „nowego człowieka". Nie jest nim, zapewne, współczesny, sztucznie wyhodowany komunista. W Sowietach dostrzegamy chwilowo tylko człowieka społecznego w walce o odzyskanie swej samodzielności socjalnej. Marksizm zbyt już przyzwyczaił nas do widzenia człowieka jedynie na płaszczyźnie społeczeństwa. Nie zapominajmy jednak, że istnieje także człowiek inny, człowiek stający wobec tajemnicy miłości i śmierci, człowiek samotny w obliczu Boga. Ten człowiek jest jeszcze w Sowietach ukryty przed nami. Ujrzymy go wówczas, gdy odzyskawszy swą samodzielność społeczną, odzyska skolei swą niezależność duchową. Człowiek sztuczny, jakiego wymarzyli sobie ideologowie komunistyczni, zapewne nie poszukuje strawy duchowej. Ale człowiek roku 1936, człowiek realny, żyjący w Z. S. R. R. odczuwa głód wyższej sprawiedliwości. Jest on wcieleniem wszystkich nadziei, wszystkich pragnień i dążeń do lepszych kształtów życia, ale także i wszystkich cierpień Rosji.

Oto w skrócie obraz „sowieckiego humanizmu" i nowego człowieka w Rosji widziany oczami pani Izwolskiej.

St. Czosnowski.



W TEATRZE

Oglądamy teraz w Warszawie dwóch Shaw'ów — ostatni produkt wielkiego pisarza i jeden z pierwszych: „Miljonerkę" i „Profesję pani Warren". Ten mecz stoczony w czasie, między osobowością tego samego człowieka, kończy się zwycięstwem młodości. A jeszcze nie tak dawno temu, siwa broda mogła była powiać zwycięsko. Wynika z tego, że nie należy zbytnio przedłużać granicy wytrzymałości wieku, że niestety, nawet tak wielki talent jak Shawa, nawet taka jak jego eksplozywność myśli, kiedyś się kończy, i że jak kobieta powinna umieć przestać w porę być piękną, tak pisarz powinien umieć, gdy należy, przestać być pisarzem.

„Miljonerka" sprawiła nam zawód, ale zastanowiła jednocześnie w zestawieniu z ową „Panią Warren", którą oglądamy u Malickiej. W młodzieńczym utworze pisarza mamy oczywiście gwałtowny atak na kapitalistów. Stary obleśny alfons-baronet, ciągnący zyski z domów publicznych uświadamia przerażonej młodej dziewczynie i — czujemy Shawa za jego słowami — że nie jest niczem gorszy od jakiegokolwiek innego kapitalisty, który niedostatecznemi płacami zmusza wprost pracujące u niego dziewczyny do nierządu, że ten ich nierząd wchodzi niejako w zakres jego kalkulacji handlowej. Słyszymy, że żerowanie na nędzy i bogacenie się nią nie jest w niczem lepsze od tuczenia się hańbą czyje-

goś ciała. Takie słowa rzucał Shaw w epoce największej potęgi kapitalizmu i jego największego prestiżu.

Dziś zato... Dziś, kiedy kapitalizm skompromitował się beznadziejnie, kiedy nikt już nie żywi co do niego złudzeń, kiedy w najbardziej kapitalistycznych środowiskach, w kapitalistycznej prasie mówi się o jego upadku, kiedy to powiedzenie stało się już niemal komunałem, sędziwy pisarz z właściwą sobie przekorą wystąpił w obronie kapitalisty, wskazując nieoczekiwanie na jego walor społeczny, na jego kwalifikacje wrodzone, bez których nie mógłby być kapitalistą. W epoce najgłębszego kryzysu, kiedy świat poczuł, że grunt usuwa mu się z pod nóg, Shaw wyśpiewał hymn na cześć pieniądza, na cześć siły, która te pieniądze gromadzić potrafi, na cześć starego kapitalisty i jego córki, która czego tknie, potrafi zamienić w złoto, która skazawszy się dobrowolnie na nędzę, energją swoją, przedsiębiorczością, odwagą, wynalazczością potrafi zawsze wypłynąć na powierzchnię bogactwa, będącego niejako jej stanem przyrodzonym. Shaw po 80-u latach życia przyszedł do koncepcji, którejby się bardzo zawstydził za młodu, że proletarjusz jest proletarjuszem dzięki swojej słabości, niedołęstwu i głupocie, i że w charakterze człowieka a nie w warunkach zewnętrznych leży szansa jego powodzenia. Ten pogląd jeżeli kiedykolwiek miał choć cień słuszności (słabiuchny) dziś stracił go ostatecznie w czasach masowego bezrobocia .To też nie możemy go traktować inaczej, jak przekorę złośliwą, nieprzemyślaną i nieprzyjemnie — dorobkiewiczowską.

W „Profesji pani Warren" uderzała mnie zawsze świetnie przeprowadzona demonstracja, jak ten sam charakter, ta sama niejako osoba zależnie od swego życiowego startu kieruje się w stronę ohydy, albo w stronę szlachetności. Matka i córka w tej komedji, a raczej w tym dramacie, są istotnie z tej samej krwi i z tej samej kości. Obie mądre, władcze, opanowane, praktyczne, ceniące nadewszystko niezależność, lubiące panować nad życiem, umiejące panować nad sobą, jakże różne drogi obrały. Matce, pochodzącej z nędzy, starczyło tych cech akurat na to, żeby zostać prostytutką, a potem znów, dzięki tymże cechom — właścicielką domów publicznych. Córka zato, otrzymawszy od ambitnej matki lepszy start życiowy, kierowana temi samemi cechami charakteru nie umie wybrać innej drogi, niż szlachetną, choć ją sprowadza do tego od czego matka chciała ją uchronić, czemu sama uszła: do pracy i do skromnych warunków materjalnych. Kształcony intelekt i ludzkie warunki życia potrafią przetopić, wedle Shaw'a, w cenny metal błotko, z którego powstały.

O tej pięknej sztuce wiele dałoby się powiedzieć. Dobrze zrobił teatr Malickiej, że ją wystawił. Tem lepiej, że Teatr Polski uporczywem graniem najnowszych, słabych sztuk Shaw zdołał nam obrzydzić tego pisarza.

Irena Krzywicka.

IDEA WOLNOŚCI

(dokończenie)

Zupełna negacja wolności równie jest niemożliwa, jak zupełne wszelkiej wolności urzeczywistnienie. Jedno wszak rzuca się w oczy odrazu: to, że działania oparte na bezwzględnem posłuszeństwie, wymagają swobodnego rozkazodawstwa. I okazuje się, że niema unicestwienia wolności, tylko przywilej na nią. Wolność dla władców, niewola dla podwładnych. Jeżeli jednak prawdą jest, że nie należy rozpuszczać podwładnych, to prawdą również pozostaje, że nie należy rozzuchwalać zwierzchników. Bo czyż takie przeciwieństwo równości jest konieczne bądź w sensie praktycznym, bądź w sensie rozwojowym. W tem drugiem znaczeniu przez konieczne rozumiemy to wszystko, ku czemu rozwój zmierza nieuchronnie. Dla niektórych bywa to argumentem do popędzania rozwoju w tę właśnie stronę. Społeczeństwa stają się niby coraz bardziej totalne, zmierzając do totalizacji zupełnej, i ludzkość czeka podobna faza końcowa, jaką już osiągnęły termity i niektóre owady błonkoskrzydłe, np. pszczoły, mrówki i inne. Jednak przyznajmy, że równie trudno zrobić z człowieka termita, jak z termita—człowieka. Faktem jest zresztą, że plemiona pierwotne były bardziej totalne, niż nowoczesne narody europejskie. Widocznie zatem rozwój w tym kierunku nie jest bynajmniej prostolinijny. A dalej, w różnych gatunkach zwierząt różne się ustaliły stopnie zjednolicenia. Są w dalekich krajach wróble, które budują hurmem wspólne gniazdo w postaci ogromnego kapelusza, a wróblowi warszawskiemu wystarczają gromadne wiece na drzewach, przy odrębności gniazd, i niema powodu do mniemania, że i tu także rozwój zmierza w kierunku wspólnej czapy. Przypuśćmy zresztą, że trzeba już zaniechać wszelkiej gry solo i wiązać się w orkiestry... dlaczego jednak ideałem orkiestry miałaby być orkiestra wojskowa? Zresztą, w takiej orkiestrze czy innej, aby móc dobrze dąć, trzeba móc przedewszystkiem swobodnie oddychać. Gdyby się stało wyraźne, że koszarowość bytu stanowi dla społeczeństw ludzkich konieczność w sensie praktycznym, że jeśli które nie urządzi się w ten sposób, zginie, jak poginęły z innych powodów plemiona czerwonoskóre, uparte w swym względnym — w porównaniu z białymi — prymitywizmie, wtedy trudnoby było nie przewidywać zaniku wolnościowych urządzeń, zaniku, jako fazy ostatecznej, rozwojowo nieuchronnej... Lecz skąd taki pesymizm? Ostatecznie, tyle jest jasne, że wraz ze wzrostem gęstości zaludnienia i postępami nauk, techniki i racjonalizacji pracy, w organizacjach ludzkich zanika wolność pod pewnemi względami, lecz wzamian za to rodzą się nowe niejako wymiary wolności. Nie wolno wyrzucać odpadków na jezdnię, lecz wolno za to bez myta wyjechać za rogatki, nie wolno sprawować byle komu praktyki lekarskiej, lecz zato lekarzowi wolno robić sekcje zwłok, nie wolno żenić się z nieletnią, lecz wolno wybrać sobie żonę samemu, nie wedle woli rodziców i t. d. i t. d. Wygląda to tak, jak gdyby do postępu było rzeczywiście niezbędne wyzbywanie się pewnych swobód, lecz nie wyzbywanie się swobody wogóle. Przeciwnie, narastanie nowych swobód godzi się z postępem. Jasne jest po drugie, że największe napięcie

skrępowań w zespołach zorganizowanych powstaje przy konkurencji zespołów: wtedy się żyłuje pracowników, by jak najtaniej wyprodukować jaknajlepszy towar i w ilości dostatecznej do opanowania rynku. Ale czyż ten stan rzeczy musi trwać wiecznie? Jeśli kartele posiadaczy umieją okiełznać szał konkurencji kosztem zarówno konsumenta jak pracownika, dlaczego nie ma tego uczynić choćby kontrola państwowa ludowładczego społeczeństwa? Ludzkość nie potrzebuje wcale ani produkcji jaknajobfitszej ani produkcji jaknajuciążliwszej. I przyjdzie czas, kiedy nie będzie się wyciskało z pracownika ostatniej kropli potu, przyjdzie czas, kiedy się nie będzie wylewało do kanałów nadmiaru mleka ani paliło nadmiaru zżętego zboża. Wtedy będzie się żyło swobodniej. A i wojny przecie ustaną z czasem, jak ustała już w wielu krajach krwawa zemsta rodowa, zbrojne najazdy na sąsiadów, pojedynki. Czy zasady militarnego postępowania staną się wzorem dla wszelkich instytucyj, czy też ustali się zrozumienie powszechne, że te formy czynu przeżyć się muszą tak, jak się przeżyła w gatunku ludzkim chwytna forma ogona? Czy ludzkość musi wejść w fazę chronicznego stanu ochrony wzmocnionej, czy też może się wywikłać z karabinowych stosunków? Niema powodu rezygnować z tej drugiej możliwości, zwłaszcza, że pragną tego wszystkie matki, wszyscy ludzie dobrzy i rozumni, a przedewszystkiem ludzie biedni, których kosztem zarówno przegrywa się wojny, jak wygrywa. Gdy ta epoka skończy się i mitraljezy zaczną rdzewieć w muzeach, nastąpi era budowania kooperacji nie na przymusie, lecz na porozumieniu. Bo i ludzie będą się wyzbywali warcholstwa a nabywali rozumu, skoro rozkwitnie szkolnictwo powszechne, a na kształcenie człowieka przeznaczać się będzie powszechnie przynajmniej całą młodość aż do pełnoletności. Cóż bowiem mówią doświadczeni i mądrzy pedagogowie? Powiadają, że bez przymusu nie tylko w życiu wogóle, lecz i w wychowaniu obejść się nie sposób; ale że przymus zmienia swe formy. Zamiast kary zaczyna wystarczać groźba kary, zamiast groźby kary działać zaczyna świadomość złych skutków czynu destrukcyjnego, zamiast względu na własną przykrość bezpośrednią wyrasta jako motyw wzgląd na towarzyszów i całość instytucji, a i ta przykrość własna, która powstrzymuje od wykroczeń, nabiera coraz szlachetniejszego oblicza: chodzi już z czasem o zachowanie honoru, o to, by zasłużyć na szacunek tych, którzy sami są godni szacunku. I powstaje współdziałanie ludzi, którym nie trzeba rozkazywać i zabraniać, współdziałanie o lepszej gwarancji powodzenia, niż gdyby było oparte na przymusie. Słowem, idea wolności nie tylko jest umiłowana, lecz, jak się zdaje, też i zdolna do życia. Czy więc liberalizm się przeżył, czy raczej życie doń jeszcze nie dorosło? Czy nie jest to cechą ogólną szlachetnych dążeń, że trzeba za nimi iść, zanim raczy do nich dopełznąć opieszała rzeczywistość?

Summa summarum.

Rozważywszy wszelkie pro i contra, uświadomiony liberał musi zatem wyznaczyć sobie jakąś drogę syntezy. Mógłby on przyjąć naprzykład następujące wytyczne. W naczelnych dążeniach społecznych opowie się za tendencją obronną, nie zdobywczą, mimo negatywnego piętna pierwszej, a pozytywnego — drugiej. Tak zresztą żyją wogóle ludzie poważni. Nie uganiają się za satysfakcją kompletnego nasycenia, za rekordami możliwości wrażeń, za pełnią życia, za wyżyciem się w pełni. Takie zapędy prowadzą prostą drogą do katastrofy, przesytu, zawodu i zbrodni. To już zabawa w używanie życia. Zresztą maximum użycia daje umiarkowanie. I nawet kiedy bywa pożytecznem głoszenie haseł skrajnych, nie przestaje być jedynie rozumnem wyznawanie haseł umiarkowanych. Otóż równowagę zachowują ci, co opędzają się od zła, na tem trawiąc główny swój wysiłek. Walka z cisnącą lub grożącą klęską: z mrozem, głodem, chorobą, nędzą, niewolą— oto cele takiego rodzaju. Tężyznę zachowują te społeczeństwa, którym siedzi na karku taka zmora, jako obecne lub ewentualne zło. I całe życie społeczne organizuje się najlepiej przez takie cele. Optimum pozytywności jest wtedy, kiedy ktoś znajduje bogactwo form wyżycia się osobistego w służbie idei społecznej o takim charakterze obronnym. Maksymalny rozkwit indywidualności narodowej, potęga mocarstwowa, jak największa bujność życia gromadnego pod każdym względem, rekordy nowego budownictwa społecznego — to są wszystko ideały zachłanne, łakome, dosytowe, jak marzenie o kapiącem od złota bogactwie. Liberał więcej ma zrozumienia dla obrony przed uciskiem, zachowania niepodległości, walki z wszelakiem złem. W ideałach obronnych widzi walory najwyższe. I słusznie — bo walka dla obrony jest sprawowaniem dzielności, walka dla używania — awanturą żywiołów niepowściągliwych.

Po drugie — oddzieli się miłośnik wolności od tych, z którymi nazbyt długo chadzał pod wspólnym sztandarem, od przemysłowych laissez-faire'ystów. Gdy bowiem tamci dążą do zysków, niekrępowanych przez dozór państwa, on, wolnościowiec, przeciwstawia się wyzyskowi, jako zaprzeczeniu wolności. Za czasów Milla*) zdawało się ludziom, tak myślącym, że wyzysk, jak i wszelka inna niesprawiedliwość, najlepiej likwiduje się sam, podobnie jak z pewnych chorób ustrój leczy się najlepiej sam, bez interwencji lekarzy. Gdy ta myśl okazała się ułudą, wyszła też na jaw dwoistość elementów składowych stronnictw liberalnych. Woda, uważana dotąd na jednolitą, przy bliższem badaniu zdradza niejednakową naturę swych drobin: w jednych wodór jest lekki, w innych ciężki. Też niby wodór, a jednak bardzo odmienny co do cech fizycznych. Tak samo rzecz się ma z liberałami w przemysłowem rozumieniu tego słowa i liberałami, jako wyrazicielami dążeń postępowej wolnościowej inteligencji. Pierwsi domagaja się wolności dla kapitału, drudzy — wolności od kapitału. O drugich tylko chodzi nam obecnie.

Nie jest taki liberał — po trzecie — z upodobania rewolucjonistą, lecz ewolucjonistą, ponieważ metoda rewolucyjna w istocie swej zawiera gwałt i teror. Uczuciowy kult rewolucji świadczy o gorszym guście, niż zamiłowanie do walki byków. Obca jest ewolucjoniście żwawa pochopność sangwiników, gotowych natychmiast podpalić dom, aby w nim zrobić dezynfekcję. Oczywiście, decyduje się i on chwycić z konieczności ostatecznych środków, jeśli istniejący chroniczny gwałt i teror tylko tą drogą da się obalić, a nowy porządek zaleca się czemś tak bardzo cennem w porównaniu z ładem panującym, że djabła na-

---

*) Johna Stuarta Milla klasyczna rozprawa o wolności istnieje w polskim przekładzie Starkla (Lwów, 1864).

wet belzebubem wypędzić warto. Taki krok jednak zawsze jest dla liberała aktem tragicznego wyboru, a nie upodobania. Nie dziwimy się takim, którzy cofają się przed nim zawsze, a podzielamy zdanie tych, co w uprawianiu rewolucji nie widzą nigdy moralnego obowiązku.

Miłośnik wolności jest — po czwarte — zgoła kim innym, niż taktyk opozycyjny, domagający się swobód, póki podważa władzę cudzą, by je stłumić bez ceremonji, gdy sam dojdzie do władzy. (Znamy takich specjalistów od pilnowania własnych praw i cudzych obowiązków! Ludzi wygodnych, którzy wołają tylko o to, co pożądane, innym pozostawiając troskę o to, co możliwe....). Przeciwnie, ceniąc wolność dla niej samej, nie tylko dla taktycznych jej pożytków, liberał prawdziwy domaga się od rządów tego, czego sam gotówby przeciwnikom udzielić w przypadku dojścia do władzy. Wczuwa się tedy i w położenie ludzi rządzących i wie, że grzechy rządów mają za jedno z głównych źródeł ekscesy opozycji. Mniema, że rządy są od tego, by w granicach rozumnego prawa obsługiwać obywateli przymusem. Sądzi więc, że obywatele wdzięczni być winni ludziom, którzy nimi rządzą, o ile i ponieważ ci spełniają za nich i dla nich tę tak przykrą czynność. Nie chce tedy malowanych rządów; chce raczej, by rząd był dość silny, aby się móc oprzeć wichrzycielom... lecz dość słaby, żeby się nie móc oprzeć rozumnemu prawu. Bo władza nie tem jest niebezpieczna, że ma władzę, lecz tem, że może jej swobodnie nadużywać.

Zastanawiając się przeto nad zasadami opiekowania się swobodą ze strony władz, miłośnik wolności dochodzi do pewnych refleksyj pojednawczych. Myśli sobie, że osoby rządzące muszą się orjentować przedewszystkiem wedle czego innego, niż utrzymywanie swobód obywatelskich. Muszą dbać o obronność państwa na zewnątrz, o sprężysty ład i bezpieczeństwo wewnątrz, o urządzenia, broniące przed nędzą, o budżet racjonalny i t. d. Więc gotów liberał — po piąte — przyjąć za swoje dwa wskazania naczelne: aksjomat pierwszy — nie cofać się przed żadną ofiarą z wolności, niezbędną dla rzeczywistej konieczności państwowej, aksjomat drugi — nie pozwalać na jakiekolwiek uchybienie wolności, jeśli to nie jest dla racji stanu konieczne. Słowem, wolność wszędzie tam obowiązuje, gdzie tylko jest możliwa.

W tych aksjomatach streszczają się różnice między postawą liberalną a postawami: etatyzmu totalnego z jednej, obojętności państwowej z drugiej strony. Totaliści akceptują pierwszy aksjomat, lekceważąc drugi i dążąc w praktyce do uczynienia go bezprzedmiotowym: bo cóż zostanie osobnikowi jako dziedzina wolności, jeżeli państwo obejmie wszystkie dziedziny, a przy zespoleniu w spójnej organizacji wszystkiego z wszystkiem można się będzie dopatrzeć konieczności państwowej zawsze i wszędzie. Ludzie państwowo obojętni, a do swobód przywiązani, obstają przy drugim aksjomacie, mało się troszcząc o pierwszy. W praktyce prowadzi to do usunięcia z pierwszego aksjomatu wszelkiej rzeczowej treści: bo nie zechce uznać nic za konieczność państwową (nawet fortyfikacyj obronnych!) ten, dla kogo samo bezpieczeństwo państwa jest sprawą obojętną. Ta postawa sąsiaduje o krok z anarchizmem, chronicznym i absolutnym w obecnych na świecie stosunkach opozycjonistą, który w tych stosunkach tylko jako protestowicz może wogóle trwać. Liberał oświecony zatem właśnie on! — traktować musi kult swobód obywatelskich, a więc swobody słowa i zrzeszeń etc., jako dyrektywę pomocniczą, podobnie jak humanitarne dowództwo wojskowe traktuje ideę dobroci, ucieleśnioną w akcji Czerwonego Krzyża. A podobny jest los w tym programie idei sprawiedliwości, rozumianej czy to jako równość uczestnictwa w dobrach, czy to jako proporcjonalność świadczeń i represyj w stosunku do zasług i win, czy to jako realizacja obietnic i umów. Dziwne to, ale prawdziwe: w społeczeństwach, walczących o chleb, troska o wolność, dobroć i sprawiedliwość jest z konieczności troską wtórną, a jednak nie walka o byt, lecz właśnie i tylko pilnowanie tych dóbr wyższego rzędu daje moralną, nie biologiczną czysto, satysfakcję. Przytem inne jeszcze zachodzi zjawisko: oto ludzie grupują się w dwóch klasach. Z jednej strony harcują po świecie życiowcy, zapaleni do gromadnej walki o ziemię, surowce, stopę życia. Tym poprostu nie bardzo się chce troszczyć o wolność, dobroć i sprawiedliwość. Czasem nie dlatego, że tacy źli, lecz dlatego, że nikt nie lubi wogóle troszczyć się o to, co nie jest w jego programie na pierwszem miejscu. Z drugiej — działają ludzie sumienia, dla których owe dobra wyższe są naczelnemi. Ci znowu nie dbają o byt, bo za nich dbają o to inni. A jasnem jest, że bez tych innych zmierzaliby bezapelacyjnie do nieuchronnej zagłady.

Aktualności lokalne.

Ale dość już tego. Dajmy spokój wreszcie tezom, antytezom i syntezom i całej tej namysłowej dialektyce. Przyjmijmy już za ustaloną treść tendencji liberalnej i zapytajmy na zakończenie, czegoby się mógł domagać od rzeczywistości obecnej i tutejszej taki tej tendencji adherent, z którym czulibyśmy się solidarni. Radby on widział sanację sanacji, mniemając, że nie może być teraz w Polsce nic mniej przykrego od tego, co jest, byleby to, co jest, było mniej przykre. Nie pragnie on wcale podważać konieczności państwowego bytu. Stwierdza tylko, że z trudnych do zrozumienia powodów wolność obywatelska w pewnych dziedzinach jest traktowana z równą pieczołowitością, jak przeciętny pacjent w kasie chorych. Tam jednak wszystko się tłumaczy przeważnie oszczędnością, czy konieczna — nie poważamy się sądzić. Ale dlaczego naprzykład smutny los bezwyznaniowców miałby stanowić niezbędny warunek dzielności Rzeczypospolitej? Niechże im raz już nareszcie będzie wolno zapisywać dzieci do ksiąg ludności bez uprzedniego chrztu czy obrzezania. Niech mają prawo pobierać się bez zbędnej interwencji osoby duchownej. Niech mają możność palenia zwłok, a póki krematorjum jeszcze nie zbudowane, niech mają gdzie chować zmarłych na porządnym cmentarzu miejskim. Przedewszystkiem zaś trzeba koniecznie pozwolić rodzicom bezwyznaniowym uczyć potomstwo w szkołach bezreligijnych i nie wymagać stopnia z religji (podawanej dogmatycznie przez jej wyznawcę), jako warunku otrzymania matury. Kościół nie powinien rządzić Nauką, skoro Nauka nie rządzi Kościołem. Kuratela wyznaniowa degraduje napięcie intelektualne szkoły. Ale nie jest ona jedynym czynnikiem, który działa w tym samym kierunku. Podobny skutek odnosi pre-

sja, którą władze wywierają na ogół nauczycielstwa. Proszę porozmawiać z kolegami, zwłaszcza pracującymi na prowincji! Proszę czytać między wierszami zawodowych organów nauczycielstwa. Czy mogą budzić płomień myśli dociekliwej ludzie, którzy oglądają się na prawo i na lewo, zanim powiedzą coś z własnego przekonania? Czy to ma być warunkiem niezbędnym utrzymania niepodległości, by maturzyści byli przesądni, a nauczycielstwo zahukane? A profesura szkół wyższych? Trudno taić, że ustawa o usuwalności profesorów głęboko zasmuciła koła liberalne w tem środowisku. Nie jest ona bynajmniej bezużytecznym papierem. Oto niedawno jeden z profesorów ośmielił się publicznie ocenić rolę ważnych osób w ważnych wypadkach niezgodnie z przekonaniem sfer decydujących. Była to zresztą, jak mówią inni znawcy, którym ufam, ocena niezgodna z rzeczywistością. Dobrze, ale czyż profesor jest od tego, by mówił prawdę, czy od tego, by mówił to, co wedle najlepszego swego przekonania za prawdę uważa? A jeśli marnie wypełnia swe zadanie, niechże go sądzą ludzie niezależni.... Kolega, o którym mowa, spadł z etatu. Nie jest on jedynym, w ten sposób wyeliminowanym. Do czegóż więc zmierzamy? Czy nie lepiej tolerować przekonania profesorów z taką przynajmniej względnością, z jaką się toleruje ich zawodowe roztargnienie? Nie jest może powszechnie wiadomem, że od dnia 28 czerwca ubiegłego roku profesor, wyjeżdżający za granicę, nie ma prawa dopuścić do wywiadu w prasie ani sam wypowiedzieć się w gazecie bez uprzedniego ścisłego uzgodnienia tekstu z przedstawicielstwem dyplomatycznem Rzeczypospolitej. Wiedzą o tem dobrze zagraniczni koledzy i kiwają głowami, powtarzając sobie w myśli: przecież brak wolności słowa na tem właśnie polega, że wolno mówić tylko to, co wolno. Jeżeli chodzi o stosunki w szkołach wyższych, to wolelibyśmy ograniczenie nie tyle ruchów języka, ile ruchów rąk. Mamy na myśli panującą w uniwersytetach wolność bicia przy braku wolności spokojnego uczenia się. Karykaturalne stosunki. Zamiast ochraniać wolność, tolerujemy piekielne nadużywanie i hańbienie swobody. Ale czy dziś są czasy lojalnego respektowania cudzych praw? Ba, czy się ludzi wychowuje w poczuciu praw własnych wobec innych, wobec społeczeństwa, wobec zwierzchności? Dużo zależy od tego, czy członek społeczeństwa czuje się, jako taki, jedynie współpoddanym, czy też i współwładcą. Jak jest u nas?

Prawi się ciągle tylko o obowiązkach i posłuszeństwie, tępiąc niby w ten sposób warcholstwo; choć moraliści wołają zgodnym chórem, że świadomość praw własnych jest nieodłączna od osobistej godności, a bez tej znowu popada się w serwilizm. Nic dziwnego, że liberalizm przeciwko temu powstaje, skoro sama jego nazwa powstała przez antytezę do nazwy serwilizmu. Oto pojęcia naprawdę przeciwstawne!

Dużoby jeszcze było do mówienia o tem, co bez żadnych konieczności dla niezależnego bytu i sprawnego ładu robi się dzisiaj u nas wbrew postulatom wolności. Ale i miejsca już brak i nie te sprawy lokalne były tematem głównym obecnych ogólniejszych dociekań. Gdy jednak mowa o ideale wolności, niepodobna zapomnieć, że z nim właśnie zrośnięte było dotychczas to, co w duszy polskiej jaśniało wielkością; niepodobna nie zająć się pytaniem, jakie też są dzisiejsze losy tego dostojnego dziedzictwa.

Prof. Tadeusz Kotarbiński.

OD DZIECIŃSTWA DO MATURY

(ciąg dalszy)

Brałam zalecone mi lekarstwa, kładłam się wcześniej spać, lekcje odrabiałam po południu w szkole, w domu już nie pomagałam tyle co dawniej, i dobrnęłam do 15 czerwca. Pozostałych 9 dni do końca roku szkolnego darowano mi, gdyż promocję do klasy piątej otrzymałam bez zastrzeżeń. Pamiętam ten dzień 15 czerwca. Było to na lekcji francuskiego. Madame wywołała mnie do odpowiedzi. Tego dnia czułam się już od wczesnego ranka bardzo nieswojo. Miałam wrażenie, że lada chwila zemdleję. W domu jednak nic o tem nie mówiłam i słaniając się poszłam do szkoły. Byłam tak słaba, że cały czas siedziałam podparłszy głowę rękami. Szumiało mi w uszach tak dziwnie, jakgdybym miała w nich morskie muszle. Byłam, jak odrętwiała... Naraz: „Czesława, repetez votre leçon!" Wstałam i... czerwone, czarne, żółte, zielone — przeróżne gwiazdki poczęły mi wirować przed oczami. W uszach powstał tak wielki szum... Nie, to topole w Sosnkowie tak szumiały podczas wichru. Gdzieś, zdala poprzez szum tych topoli przedzierały się przeraźliwe dźwięki dzwonu z żukowskiego kościoła... Czułam, że razem z mojemi topolami poczynam kołysać się, zrobiło mi się dziwnie słodko i dobrze, przytem ten dzwon, dzwon z Żukowa... Te gwiazdki i świsty — to pożar. Pewno zapaliła się plebanja księdza Jana i tak dzwonią na alarm...

Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam biały fartuch lekarki szkolnej, pochylonej w tej chwili nad stołem i odliczającej jakieś kropelki do szklanki. Cóż to? Czyżbym była chora? A, prawda, miałam odpowiadać z francuskiego i coś mi się zrobiło. Pewno zemdlałam. Na białej mojej bluzce olbrzymia czerwona plama. Skąd ta krew? Nos boli i mam twarz taką lepką, mokrą... Co to? Lekarka odwróciła się... „Leż spokojnie moje dziecko. Nie myśl o niczem. Wstałaś nieostrożnie z ławki i uderzyłaś nosem o nią. To zaraz przejdzie. Wypij te kropelki. Zaraz pójdziesz do domu. Musisz trochę odpocząć". Zdjęła mi bluzkę, obmyła twarz. Zbadała serce, płuca. Uśmiechała się cały czas i opowiadała mi różne przezabawne historje. Musiałam jednak długo leżeć. Słyszałam jeden dzwonek, potem drugi, trzeci i wreszcie gwar w korytarzu. Znam ten gwar i hałas. Tak zawsze odchodzimy do domu po skończonych lekcjach. To już tak późno. Chciałam wstać. Lekarka jednak nie pozwoliła. Leżałam jeszcze pół godziny. Wreszcie... To chyba nie jest zemną dobrze... Usłyszałam przyciszoną rozmowę matki z przełożoną za drzwiami. Drzwi uchyliły się i ukazała się przełożona, a za nią matka blada i zapłakana. Nie rozumiałam co to wszystko znaczy. Czyżby przełożona powiedziała matce, że... że to już koniec mojej nauki? Matka trzyma w ręku biały, duży papier zwinięty

w rulonik. To pewno... ech, nie... To niemożliwe. Przełożona pochyliła się nademną, pocałowała mnie w czoło. „No, mały zuchu. Ubieraj się. Sprowadzimy cię do dorożki, pojedziesz dziś do domu do mamusi, a jutro już będziesz na wsi".

„Nie, ja muszę dochodzić do końca. Ja muszę przejść do piątej. Ja nie chcę wyjechać!" Przełożona uśmiechnęła się, tak jak tylko ona umiała się uśmiechać do nas tkliwie, serdecznie. „Dziecino, mamusia już ma twoją cenzurkę, bądź spokojna. Przecież wiesz, że przez te 9 pozostałych dni nic zmienić się u ciebie nie może. Masz bardzo dobrą promocję i nie martw się o nic". Matka moja stała biedna, oparta o piec i ocierała łzy. — Przeszłyśmy ciemnym korytarzem do frontowych drzwi. Przełożona wyniosła mi paczkę książek. Same powieści. Śliczne, ulubione moje powieści i tom poezji Konopnickiej. Ucałowała mamusię i mnie: „Dowidzenia czarnulko, wracaj do nas zdrowa i wypoczęta. Ty brzydki, skryty zuchu! Gdybym wiedziała, jak przedstawiają się twoje warunki materjalne i co się w tobie dzieje, nigdyby nie doszło do takiego stanu".

Nazajutrz wyjechaliśmy wszyscy, z wyjątkiem ojca na wieś. Kocham bardzo ciszę wiejską, lasy, pola, sady, drzewa, chaty, obory, umorusane dzieci chłopskie, krzyże na rozstajach, kamienie przydrożne, rechot żab, gdakanie kur, śpiewy ptaków. Wieś! Moja radość, wypoczynek, zdrowie!

Nie lubiłam Warszawy. To przebrzydłe, szare, smutne miasto. Brudne, pełne błota i ostrych kamieni podwórze z cuchnącym na środku „domkiem", o którego ściany w pogodne dni uderzałam piłką, gdy miałam jeszcze 7 czy 8 lat. Naokoło szare, podrapywane rudery; jedna dwupiętrowa, na której od dawna chwieje się wielki napis na olbrzymiej blasze „do rozbiórki", druga parterowa, czerwona, bez okien i drzwi — przytułek rodziny wyeksmitowanej aż z Czerniakowskiej i wreszcie trzecia, trzypiętrowa — najelegantsza i historyczna, dom Hugo Kołłątaja... W tej ostatniej ja mieszkam. W tym historycznym domu nie może mieszkać byle-kto. Tylko robotnicy na stałych posadach. Dom przecież ma całe, choć brudne i pełne szczurów schody, jest skanalizowany... A jakże, mamy, aż na trzeciem piętrze wodociąg i zlew. Zlew — w mojem pojęciu było to coś bardzo wygodnego i rzadkiego. Bo jakże? Tyle było ciągle kłótni, awantur, wymysłów, a nawet i bijatyk o ten zlew. Często zapychał się i nie można go było potem używać. Sąsiadki, a było ich w naszym korytarzu siedem, godzinami całemi wyprawiały awantury, wymyślały sobie wzajemnie, biły się, posądzały jedna drugą w takim wypadku. Ale myśmy jednak mieli najlepiej. Zlew bowiem znajdował się tuż przy naszych drzwiach. Mamusia bardzo była z tego niezadowolona, mówiła, że gdy się drzwi otwiera to zaraz ze zlewu wszystkie złe zapachy idą do mieszkania, przytem sąsiadki najczęściej nas posądzały o zapychanie zlewu — bo to u nas najwięcej ludzi, aż dziewięcioro, i podłogę się najczęściej u nas szoruje, co drugi dzień, a wiadomo, jak jest w domu gromada dzieciaków to i woda po umyciu takiej podłogi musi być czarna i gęsta... Zlew się zapycha, nic dziwnego. Matka nieraz płakała przez ten zlew. Ale ja... ja byłam długi czas dumna z tego, że mamy takie wygody...

Pamiętam, kiedyś na podwórzu pokłóciłam się z Danką, moją koleżanką. Byłam wtedy jeszcze w czwartym oddziale szkoły powszechnej. Danka zabrała mi starą patelnię, w której urządziłam sobie ogródek. Wynikła awantura. Nie chciałam ustąpić. Doszło wreszcie do bicia. Przyszła mi w pomoc moja siostra i Dance odebrałyśmy patelnię. Wtedy to pokonana koleżanka poczęła mi wymyślać: „Weź, weź sobie tę skorupę, ty nędzo" — krzyczała. „Tyś gorsza nędza, bo twoja matka i ty musicie z drugiego piętra wodę do rynsztoka na podwórze nosić, a my mamy zlew. A widzisz". Danka została pobita tym argumentem. Co też było mówić. Ja mieszkam w domu Kołłątaja, mam zlew, mam wodociąg, mamy piwnicę. Mamusia jest w domu, tatuś w robocie i żadne z nas nie sprzedaje gazet i lodów pod mostem. A Danka? U niej nic niema i ojciec jej całe lato sprzedaje „lody", a zimą pączki i bajgiełe. Przytem u mnie nigdy się nikt nie upija i nie bije, a u Danki? Tam nie było dnia, żeby policjant nie przyprowadził do domu jej pijanego ojca, albo, żeby nie przychodził rozbrajać ojca i matkę. Tak się bili.

Trudno było mi żyć w tem podwórzu. Dzieciaki zawsze przezywały mnie i moje rodzeństwo „paniczami", nie lubiano nas ogólnie... Gdy matka leżała w szpitalu kobiety mówiły, że się pieści, że udaje, bo mąż pracuje, to może sobie pozwolić na taki wygodny urlop. A pani Chaczyńska twierdziła, że to przez „tę wielką pańskość" mamusia zachorowała. „Całe dnie, od świtu do nocy, nic innego nie robi tylko dzieci myje, ubiera, obszywa, opiera... Bo przecież to państwo. Od przybrudzonego fartucha, albo usmarkanego nosa zaraz-by dostali krwawej dyzenterji. W brzuchach sieczka brzęczy, ale na podłodze kluski możnaby do obiadu zagniatać. Tak tam po pańsku być musi. Niech charuje, kiedy głupia. Moje chłopaki, jak rzepy, ale ja tam nie zważam jak któren się usmarcze. A jeszcze tera, nie daj Panie Jezu! Dziwkę do gimnazjów posyłają, siedzi tam całe dnie, przyjdzie do domu, to jej jeszcze i usłużyć trzeba, bo panienka ze śkółki przysła. Hrabianka. Matka orze, ale dziewucha leżyć musi. A niechtam. Może jak wróci ze śpitala, to zmądrzeje taka pani. Z nikim to nie zagada, bo mówi, że nie ma czasu na robienie plotek. Dzieciaki w co może stroi, z innemi na podwórzu pobiegać nie da. Bo zaraz-by się nauczyli brzydkich rzeczy. Tak, jakby już zapomniała skąd jej rogi wyrośli. Na podwórzu wszystkie się razem chowają i dobrze. Ale przecież takie dzieci z wielmożnego domu nabraliby od naszych brzydkich manierów. Główka zaboli — do doktora. Jakieś tam podobnież na nerwy chore przez robotę i zaraz do śpitala. Państwo, bo państwo"... I tak bez końca.

Siedem kum z całego korytarza zbierało się pod naszemi drzwiami i „biadały" ad infinitum nad dolą naszej matki i jej „paniczów". Strasznie nie lubiłam tego podwórza, pełnego brudu, przekleństw, pijaństwa, zawiści, plotek, potwarzy, rozłobuzowanych wyrostków, kłótliwych bab, smrodliwych korytarzy. Przed bramą, na schodach, na kamieniach pod piwnicami, nawet pod cuchnącym „domkiem" na środku podwórza od marca do listopada wysiadywały wstrętne babska, wszystko wiedzące, wszystko przeczuwające, wszystko widzące.

Na wieś, prędzej na wieś! Odetchnąć świeżem, zdrowem powietrzem, odpocząć po tym dziesięciomiesięcznym śnie koszmarnym. Nareszcie przestać obcować z tymi ludźmi, przez których tyle łez nie-

raz wylałyśmy z matką. Mam już cenzurę, mam więc pełne prawo myśleć o wyjeździe na wieś.

Z bagażami, paczkami, koszykami szłam wieczorem z rodzicami i rodzeństwem przez podwórze. Ojciec odprowadzał nas do statku. Za dobrą promocję dostałam w prezencie od mamusi śliczną, ze sztucznego niebieskiego jedwabiu sukienkę z białym, koronkowym kołnierzykiem. Od tatusia żółte pantofle i białe skarpetki. Głowę, jak mogłam podniosłam najwyżej, przystrojoną w mój nieodstępny granatowy beret z czarnym pomponem i srebrnym znaczkiem gimnazjalnym. Było chłodno, lecz nie chciałam założyć starego płaszcza. Niech widzą ludzie, jak pięknie mnie ubrała moja kochana, dobra matka. Niech plotkują, niech się złoszczą. Nie rozumiałam jeszcze wtedy, że ludzie ci wypaczeni i upodleni przez nędzę i głód, potrafią zazdrościć, nienawidzieć, obmawiać, ale nie potrafią chcieć mocno, serdecznie swoim dzieciom pomóc, nie potrafią własnych swych dzieci kochać. Nie rozumiałam tego, że tylko wyjątki nieliczne mogą w otchłani nędzy zachować czyste dusze i szlachetnie bijące serca. Nie wiedziałam, że głód i nędza bez nadziei na lepsze jutro, ludzi deprawuje.

Statek płynął cicho, powoli wśród nocy gwiaździstej. Omijał wyspy piasczyste, szukał przy świetle reflektorów głębszej wody, czasem tarł dnem o piasek, stawał, odpoczywał i znów lawirując między wysepkami sunął leniwie z prądem do Wyszogrodu. Warszawa pozostała za nami, rozmigotana tysiącami świateł, które stopniowo malały, rozpływały się, nikły, aż wreszcie tylko rozległa, jasna łuna na horyzoncie wskazywała, że stolica żyje życiem nocy. Siedziałam na pokładzie, otulona w płaszcz i w derkę i niecierpliwie wyczekiwałam wschodu słońca, który spotykał nas zawsze w takiej podróży już pod Czerwińskiem. Wreszcie na tle brzasku ukazały się dwie czerwone wieże klasztoru czerwińskiego... Jeszcze pół godziny, jeszcze kilka chwil i już widać most w Wyszogrodzie, już dobijamy do przystani.

Na brzegu stoi furmanka. Wacek powiewa chusteczką, biegnie na przystań. Już jesteśmy na lądzie. „Siwa" biegnie wesoło, furmanka burkocze, trzęsie po wyboistych drogach. Słonko wstało dopiero, białe opary unoszą się nad łąkami i polami. Wokół rozbrzmiewają śpiewy skowronków, kukułki odzywają się w przydrożnych lasach i zagajach, gdzieś z pobliskich wiosek słychać pianie kogutów, gdakanie kur, ujadanie psów. Wieś poczyna się budzić... Siedzę cichutko na wozie, nie odzywam się zupełnie. Tak mi dobrze, tak lekko. Tak mi się teraz chce żyć. Nie czuję zmęczenia po nieprzespanej nocy, ani chłodu, ani głodu.

Zazdrościłam ludziom żyjącym na wsi. Patrzeć ciągle na cuda przyrody, żyć wśród takiego piękna — to przecież szczęście. Ludzie na wsi, to chyba najszczęśliwsi ludzie pod słońcem. A jednak... Przekonałam się wkrótce, że tak nie jest.

W kilka dni po przyjeździe do Sosenkowa wybrałam się z Kuńcią do drugiej wsi po gąski. Wypoczęta i syta, szłam rozmawiając wesoło, opowiadając o różnych wesołych figlach w szkole, o koleżankach, o Warszawie. Mała moja kuzynka nie mogła pojąć, co to jest gimnazjum, poco tam się chodzi, skoro już skończyło się aż tyle, aż 7 oddziałów. „Moja droga, to ty teraz chyba nie będziesz się z nami tak bawiła, jak dawniej. Pewnie w niedzielę już nie pójdziemy do Domańskich na „skikanki", bo to nie wypada może, żeby taka kształcona osoba zadawała się z wiejskiemi „głąbami". Choć ja to nie słyszałam nigdy o żadnych gimnazjach, ale to pewno coś inakszego. A czyje tam córki chodzą? Czy tam są same szlachcianki, doktorówny, a może i jakiego generała córka tam chodzi?" Wyjaśniłam jej, jak mogłam co to za szkoła i kto tam chodzi, czego się w niej uczymy, ale gdy powiedziałam jej o tem, że uczę się łaciny i francuskiego odsunęła się odemnie o kilka kroków, spojrzała rozszerzonemi oczyma i szepnęła: „Francuski to francuski, to przecież będziesz mogła tak gadać jak we Francji gadają, to jeszcze rozumiem. Może kiedy pojedziesz tam, albo co. Ale po łacińsku, żeby uczyć dziewczyny, to już chyba Pan Bóg skarze to wasze gimnazjum. Słyszał to kto, żeby świętym językiem tak poniewierać. Toć przecie księdzem nie będziesz. O to ja już teraz będę musiała się spytać księdza na spowiedzi, czy to nie grzech, że ty jesteś moją siostrą. Dziewczyna świętym językiem gada. I ty się nie boisz?" Znów musiałam długo Kuńcię przekonywać, że język ten nie jest świętym, że znają go nietylko księża, ale doktorzy i adwokaci i wszyscy, którym jest on potrzebny. Musiałam jej wytłumaczyć, że używanie tego języka nie jest grzechem i t. d. Bawiło mnie to nawet i śmiałam się, że Kuńcia, taka, zdawałoby się mądra dziewczyna, tak mało wie i w gruncie rzeczy jest taka głupiutka. Żal mi jej jednak było, takie cielątko... Biedna moja mała Kuńcia, ona nawet nie mogła uwierzyć w to, że mieszkamy na trzeciem piętrze i pytała moją matkę: „Stryjenko, czy to prawda, że wy tam w Warszawie siedzicie tak wysoko, jak na czubku naszej topoli? Jak wy się nie boicie? Toć, jak się tak nastawia chałupów jedna na drugą, to możecie się obalić kiedy przy burzy".

Rozmowom takim nigdy nie było końca. Trzeba jej było po dziesięć razy tłumaczyć wszystko zanim dała się przekonać.

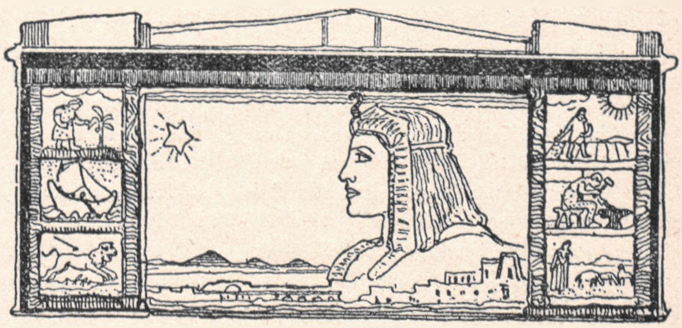
Nigdy nie mówiłam nikomu na wsi, o tem, co było w Warszawie przykrego, smutnego. Nigdy nie opowiadałam o wielkich trudach mego życia, o mojej biedzie, o walce codziennej, o upokorzeniach, o głodzie. Poco? To tak miło zmienić rolę. W gimnazjum w Warszawie byłam zawsze „niższą" od swych koleżanek. „Jedynaczka", „biedota", „chłopka" — niedopasowana do klasy koleżanka. Tam, wśród koleżanek zawsze stałam na „szarym końcu". Litowały się nademną, dziwiły się moim wytartym sukienkom, przeszywanym ze starej odzieży paltom, podartym bucikom. Zatykały nosy, gdy podczas dużej pauzy wyjmowałam chleb posmarowany szmalcem. Nawet kiedyś Dudzia chciała mi ofiarować swoją bułkę, bylebym tylko nie pachniała tym brzydkim szmalcem. A tu! Moje perkalowe, biedne sukieneczki były podziwiane. Moich opowiadań, rozmów, deklamacji słuchano z nabożeństwem. Uważano mnie za najważniejszą we wsi osobę. Byłam kimś wyższym, mądrzejszym. „Panienka"! — z jakim szacunkiem wymawiano to słowo. I było mi bardzo z tem dobrze. Przez całe wakacje królowałam na wsi. Zapominałam o tem, że czas przejdzie szybko i znów będę przez długich dziesięć miesięcy „jedynaczką". Dziś jestem „na wozie", jestem pierwsza. Dziś mnie podziwiają, szanują, opowiadają sobie cuda o mojej mądrości, o mojem wielkiem wykształceniu. Pomijałam więc w rozmowach z Kuńcią wszystko to, co mogłoby zaćmić choć trochę jasną aureolę,

w jakiej przez wakacje chodziłam. I wtedy, na drodze do Czunina wyjaśniałam i tłumaczyłam Kuńci niezrozumiałe dla niej rzeczy, tak, by jednak ani na chwilę nie pomyślała, że są to sprawy proste, ludzkie...

Tylko przez dwa miesiące żyję dobrze, śpię dużo, nic nie robię, biegam, piję mleko, widzę pola, lasy; słucham rechotania żab, śpiewu ptaków, oglądam co wieczór zachód słońca nad Skarzynem... A ona... ona nie zna brudów naszego podwórza, nigdy jeszcze nikt jej nie powiedział „idź ty, nędzo", nikt z niej nie kpił, nikt jej nie dokuczał, nikt jej nie potrącał, nikt nie wymyślał. Wszyscy tu we wsi byli sobie równi. Ona nie widziała wielu rzeczy, nie zna miasta i dużych, trzypiętrowych domów, ale... ale zato jest ciągle na wsi, może chodzić po polach i sadach ile zechce, ma dużo owoców, tyle mleka, jaj... Nigdy jeszcze pewno nie była głodna. Ma swoją ziemię, swój sad, swoją chałupę. A ja nic nie mam. Jej jest dobrze, bardzo dobrze... I wszystkim na wsi też jest dobrze...

Przypadek zdarzył, że przejrzałam, że opadła z mych oczu różowa zasłona... Zaszłyśmy do Janikowej po młode gąski. Starsza, otyła gospodyni przywitała nas serdecznie, wsadziła 6 gąsek do kobiałki, zgarnęła pieniądze do szuflady i rozpoczęła wypytywać Kuńcię o różne, zresztą nieznane mi, sprawy gospodarskie, o drób, o cielaka, o torf, o żniwa i o „letniaków". „A, to się zwaliło gości coniemiara, powiadasz: stryjna i sześcioro małych — prawiła Janikowa. — A może stryjna, jako, że z Warszawy kobita i pewno groszem pachnie, miałaby chęć do chrztu świętego trzymać. U Zudowej znowu dzieciak. Chłopak pono, ale kaleka, gębę ma wykrzywioną. Bida w chałupie, aż smród, a tu już dziewiąty przybysz od Boga. Taka warsiaska paniusia mogłaby dzieciaka trzymać, to i starym by się tam cośniebądź oberwało". — „Janikowo, a o której to Zudowej mówicie? Czy to ta co to w zeszłym roku jej chłopu nogę w cukrowni złamało?" — spytała Kuńcia. „Toć chyba, że nie o innej gadam. Leży jeszcze chora. Mają jeno półtora morga ziemi, a do spłaty dziecisków będzie chyba z piętnaście. Kobita jeszcze nie stara, a już dziewiątego ma. A idźcie tam, to zobaczycie małego". Chwilę jeszcze pogadała gosposia, nawydziwiała, naopowiadała... Zdążyłam się dowiedzieć, że w Czuninie na półtoramorgowych parcelkach siedzi aż 16 rodzin, że Lakowej krowa zdechła i Lak chciał się „przez to obwiesić", że Krawczaka złapali, jak koszykiem kartofle kradł Maciakowej, że chłopak Walczaków na polu ssał krowę Dobrowolczyków. Nie mogłam wierzyć własnym uszom. To i tu na wsi, też kradną, też się biją, też są tacy źli ludzie jak w mieście. Chciałam koniecznie iść do Zudowej. Chciałam się przekonać, czy to prawda, że wśród pól pełnych zboża i kartofli, wśród sadów pełnych owoców są głodni ludzie.

(d. c. n.) *Czesława Kamińska.*



PRZEGLĄD POLITYCZNY

Dnia 4 czerwca objął władzę we Francji rząd Zjednoczenia Ludowego p. Leona Bluma, stanowiący z jednej strony objekt nienawiści, złośliwych drwin i wszelakich insynuacji zjednoczonej reakcji na całym świecie, a z drugiej strony przedmiot wielkich nadziei szerokich mas ludu francuskiego i wszystkich stronników pokoju, wolności i sprawiedliwości społecznej na świecie. Już sam skład nowego gabinetu francuskiego wskazuje, że przychodzi on do biur rządowych republiki francuskiej z nowemi ideami i świeżą inicjatywą. Oprócz premjera, od wielu lat przewodniczącego frakcji socjalistycznej w Izbie, zasiadł w rządzie jako minister bez teki, sekretarz generalny francuskiej partji socjalistycznej Paul Faure i świetny znawca finansów socjalista — Vincent Auriol. Znalazły się w rządzie (rzecz we Francji niebywała) trzy kobiety — pani Suzanne Lacore, jako podsekretarz stanu do spraw opieki nad dziećmi, pani Irena Jolliot Curie jako podsekretarz stanu do spraw badań naukowych — obie socjalistki i p. Brunschwig jako podsekretarz stanu w min. oświecenia z partji radykałów.

Obok czołowych przedstawicieli socjalizmu, objęli teki przywódcy radykałów, jak Daladier—wice-premjer i obrona państwa, Jean Zay — oświecenie, Marc Rucart — sprawiedliwość, Cot — lotnictwo, Bastid — handel. Spośród radykałów znaleźli się w rządzie ci, dla których zjednoczenie ludowe nie było nigdy frazesem i trampoliną do zdobywania władzy, lecz wyrazem głębokich przekonań. Dwaj z nich Daladier i Cot byli przez dłuższy czas czerwoną płachtą dla t. zw. bloku narodowego. Teka spraw wewnętrznych spoczęła w rękach socjalisty Salengro, który na stanowisku burmistrza przemysłowego miasta Lille dał dowody ogromnych talentów organizacyjnych. Wśród członków rządu są również przedstawiciele t. zw. republikańskich socjalistów. Nie wszedł do gabinetu główny ich reprezentant Paul Boncour tak zwany popularnie w kuluarach „indefrisable" (wiecznie ufryzowany). Teka spraw zagranicznych, do której aspirował on, spoczęła w rękach prezesa partji radykałów, Jean Delbos'a należącego do lewicowej ekipy radykałów, znanego z wystąpienia przeciw planowi Laval — Hoare. Komuniści należący do Zjednoczenia Ludowego tek żadnych w gabinecie nie objęli, ułatwiając tem i sobie i swoim sojusznikom politycznym sytuację.

Rząd Bluma objął władzę w położeniu wyjątkowo trudnem. Masy robotnicze, rozkołysane tryumfem wyborczym, w okresie ataku o poprawę warunków bytu. Francję, a w szczególności stolicę ogarnęła fala strajków, paraliżujących życie codzienne. Od barów i dancingów począwszy, a kończąc na tytanach produkcji metalurgicznej stawały warsztaty pracy. Różne były i są w różnych miejscach żądania lokalne, ale w ogromnej większości swej klasa pracująca Francji wysunęła żądania, które streszczono w arytmetycznej formule „16 — 40 — 60". Formuła ta oznacza dopuszczenia świata pracy w najszerszym zakresie do dóbr duchowych i materjalnych, dotychczas otwartych jedynie dla klas t. zw. posiadających. Symboliczne

cyfry to: przedłużenie okresu nauki przymusowej do lat 16-stu, 40-godzinny tydzień pracy i emerytura od 60-go roku życia. Do trzech wymienionych cyfr dochodzą wszędzie nieomal wysunięte żądania — układów zbiorowych w poszczególnych gałęziach przemysłu i urlopów. Fala strajków przybrała chwilami charakter anarchiczny, a pozatem metoda zastosowania przez robotników nieznana dotąd we Francji, a słynna na świecie jako „strajk polski" t. j. t. zw. okupacyjny wywierała na społeczeństwo francuskie ogromne wrażenie. Fala rosła, rozlewała się i w tajnych marzeniach reakcji zatopić miała nową władzę III Republiki.

Rząd z uwagą i spokojem śledził to zjawisko, interwenjował i działał. W deklaracji programowej złożonej dnia 6 czerwca premjer zapowiedział, że wnosi do Izb dla szybkiego uchwalenia ustawy o 40-godzinnym tygodniu pracy, o układach zbiorowych i o urlopach. Nie poświęcano sił i trudów dla zbadania, kto i gdzie wśród fali żywiołowej usiłuje zamącić wolę i przy okazji utworzyć kanał podziemny, który nową władzę podmyje. Być może na anarchizowanie tego ruchu wpływały z jednej strony czynniki skrajnego skrzydła komunistycznego, a z drugiej, w dużej mierze, wszelkie żywioły reakcji, których syk nienawiści nie milkł ani na chwilę, znajdując wdzięczne echo w Berlinie i w znacznej części prasy polskiej. Ze spokojem tolerowano te podkopy. Jednocześnie z zapowiedzią ustawowego uregulowania postulatów klasy robotniczej doprowadzono do bezpośrednich rozmów między związkiem przemysłu i Generalną Konfederacją Pracy. W wyniku tych rozmów, nad któremi czuwali ministrowie Salengro i Lebas, stanął w nocy z dnia 7 na 8 czerwca układ stwarzający podstawę do likwidacji ruchu strajkowego i całkowitego opanowania położenia. Deklaracja programowa premjera Bluma będzie urzeczywistniona pomimo, że na drodze do realizacji czekać ją mogą jeszcze duże trudności. Rząd uzyskał votum zaufania Izby niebywałą w Paryżu większością 384 przeciw 210. Rząd nie występował jako socjalistyczny. Zarówno w deklaracji programowej jak w replice na ataki prawicy Blum mocno zaznaczył, że rząd jest gabinetem Frontu Ludowego, podkreślił że niema całkowitej identyczności poglądów między radykałami a socjalistami we wszystkiem, ale — mówił — gdy chodzi o obronę wolności i republiki nie masz między nami żadnych różnic. Sięgnął do wiecznie żywej we Francji skarbnicy Wielkiej Rewolucji i przypomniał słowa Robespierre'a wygłoszone w przededniu Jemappe i Valmy, w przeddzień urodzin „Marsyljanki": „W demokracji, w której wszyscy korzystają z równych praw, państwo może liczyć iż ma tylu obrońców, ilu obywateli mieszka w jego granicach".

Znalazł się taki deputowany, który probował przenieść walkę z rządem Frontu Ludowego na wygodne gdzieindziej pole nienawiści rasowej, wyznaniowej i narodowościowej. Podjął się tej roli niejaki p. Xavier Vallat, a za nim 200 złotych młodzieńców na boulevard St. Michel. Wybryk p. Vallat'a zgromiony w sposób dostojny przez przewodniczącego Izby p. Herriot'a nie znalazł nigdzie oddźwięku. Nawet żółta prasa pominęła incydent nieomal milczeniem. W odmętach hecy antysemickiej nikt we Francji nie potrafi utopić sprawy kardynalnej przebudowy ustroju społecznego, ani walki o wolność. Zagraniczni przeciwnicy nowych rządów we Francji po za tą nie mającą żadnych szans powodzenia bazą do walki usiłują przenieść swój atak na płaszczyznę nie omal historyczno-filozoficzną: Blum we Francji — to powtórzenie Kiereńszczyzny. Ten wyświechtany frazes ma szczególne powodzenie na łamach prasy polskiej i niemieckiej, choć trzeba dodać, że Auswärtiges Amt musiało wydać swoim podwładnym pisarzom rozkaz dużej ostrożności wobec nowego Paryża. Ci, którzy ten frazes powtarzają, ujawniają po pierwsze zupełną nieznajomość historji niedawnej przeszłości a po drugie zupełny brak zmysłu rzeczywistości. W rozumowaniu swem biorą swoje życzenia za rzeczywistość. Życzenia te sprowadzają się do jednego: niechaj rząd Frontu Ludowego załamie się pod naporem anarchji, a we Francji dojdzie do władzy jakiś De la Rocque lub Tardieu, wówczas zginie ostatni bastjon wolności w Europie Zachodniej (Anglja jest przecież za morzami), a wtedy hulaj hitlerowska dusza po zmęczonym kontynencie Europy ile wlezie! Taki jest ideał twórców teorji o „kiereńszczyźnie" Bluma. Tymczasem trzeba pamiętać, że rząd Kiereńskiego upadł nie dlatego, że dopuścił do anarchji, że nie opanował ruchu społecznego mas pracujących, lecz dlatego, że 1) nie potrafił zakończyć wojny, a nawet chciał ją dalej prowadzić, 2) nie umiał rozstrzygnąć sprawy rolnej w Rosji. Rząd p. Bluma nie wyłonił się w wyniku rewolucji, wywołanej przez wojnę i niema przed sobą do rozstrzygnięcia sprawy agrarnej we Francji. Porównania są więc zupełnie bezpodstawne i nawet bez sensu. Pozatem rząd p. Bluma dochodzi do władzy i rozpoczyna jej sprawowanie od ujęcia w swe ręce rozstrzygnięcia tych zagadnień społecznych, wobec których „gasnący świat" spasował.

Rząd Kiereńskiego zasługuje w pamięci ludzkiej na lepszą pamięć, zwłaszcza w Polsce, popełnił on jednak niewątpliwie błędy, które kto inny za niego naprawiał. Niema w tem jednak żadnej analogji do rządu Frontu Ludowego we Francji. Inna jest chwila dziejowa i inna konjunktura gospodarcza. Pod jednym tylko względem można uznać położenie za analogiczne: oprócz trudnych zagadnień wewnętrznych rząd Zjednoczenia Ludowego we Francji ma przed sobą niesłychanie ciężkie problematy w polityce międzynarodowej. Sprowadzają się one w gruncie rzeczy do jednego zadania: nie dopuścić do wojny, a jednocześnie powstrzymać agresję ustrojów dyktatorskich. Zadanie to brzmi nieomal jak kwadratura koła, bo ustroje te uznają tylko siłę i tylko przed nią korzą się. Trzeba więc tak zorganizować społeczeństwa wolne, aby stanowiły one potęgę decydującą. W zaciśniętych pięściach Frontu Ludowego musi być symbol mocy, która zadecyduje o rozwoju świata. Do stworzenia tej siły nowy rząd francuski idzie drogą reform społecznych i choć może spotkać wielkie trudności, niechybnie cel osiągnie, czyniąc zawód fałszywym prorokom, czyhającym na podsycenie bezładu i anarchji, na których pleni się gwałt i przemoc brutalna.

C. D.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Kazimierzowi Z. w Piotrkowie. Wzięliśmy pod uwagę.

Panu A. St. D. w Toruniu. Dziękujemy, przesłaliśmy.

Panu B. M. z Łodzi. Nie do druku. Tego rodzaju lekturą nie będziemy raczyli naszych czytelników.

Pani Janina W. w Krakowie. Owszem „sensacyjne", ale trywialne. Nie będziemy drukowali.

Pani H. K. w Stanisławowie. Serdecznie dziękujemy.

Panu Wł. B. we Lwowie. Nie dziwimy się, niczego innego nie można spodziewać się ze strony naszej kołtunerji.

Pani M. L. w Kaliszu. Nikt nie robi takiej reklamy bolszewizmowi, jak ci, którzy każdy objaw społecznego postępu nazywają „bolszewizmem".

Panu Witoldowi K. w Grodzisku. Dziękujemy.

Panu Arturowi B. w Warszawie. Dziękujemy serdecznie.

Panu Witoldowi B. w Krakowie. Dziękujemy.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

PONURA STATYSTYKA

Według zestawień Głównego Urzędu Statystycznego, w ciągu roku ubiegłego zameldowano policji na terenie całego kraju: 6003 przypadków oporu władzy, 8393 nawoływania do przestępstwa, 2596 świadomego puszczania w obieg fałszywych pieniędzy, 5942 fałszerstw, 3104 podpaleń, 1672 zabójstw, 1659 usiłowań zabójstwa, 17.215 ciężkiego uszkodzenia ciała, 932 dzieciobójstwa, 1917 rozboju, 472.287 kradzieży (w czem 98.221 mieszkaniowych, 108.800 z pola i lasu), 9110 paserstw, oraz 27.584 wypadków oszustwa.

ŚWIĘTY PIOTR I LEGUNY

Czytamy w *Głosie Nauczycielskim:*

„P Józef Szała z Januszewic wystosował następujące pismo:

„Do Pana Kierownika Szkoły w Zemsku.

Stwierdziłem wczoraj, że dzieci uczą się w szkole piosenki pod tytułem „Leguny w raju", w której to wyszydza się wiarę z życie pozagrobowe oraz wydrwiwa się świętego Piotra i nawet samego Pana Boga. Nie spodziewałem się nigdy tak niskiego upadku ze strony Pana, ażeby u dzieci podkopywać wiarę w życie pozagrobowe oraz ośmieszać św. Piotra i Pana Boga. Jako katolik i ojciec dzieci stanowczo protestuję przeciw szerzeniu zasad komunistycznych dzieciom w szkole, ponieważ przez szerzenie takich zasad komunistycznych pomiędzy dziećmi podkopuje się u dzieci powagę rodziców, kościoła i Państwa, bo zatruty duch narodu to największy bólów ból. Mam nadzieję, że Pan przestanie takiego głupstwa uczyć. Dzieciom moim stanwczo zabroniłem uczyć się tej piosenki, ponieważ ta piosenka obraża i wyszydza wiarę, świętych i Pana Boga.

Z poważaniem

(—) Szała Józef".

Od siebie dodajemy, że pismo to odnosi się do piosenki „Święty Piotr i leguny" ze śpiewnika Karola Hławiczki „75 polskich pieśni marszowych", str. 97 Katowice 1931, Księgarnia i Drukarnia Katolicka w Katowicach. Śpiewnik został dozwolony do użytku szkolnego (Dz. Urz. Min. W. R. i O. P. Nr. 3/32 poz. 36, str. 118). Okzuje się, że głupota ludzka wciąż jeszcze, niestety, niema granic".

UCIECZKA DZIENNIKARKI

Od dwudziestu lat przebywała we Włoszech dziennikarka amerykańska, ostatnio korespondentka agencji „United Press", p. Alice Rohe. Relacje jej z Italji nacechowane były do niedawna wyraźną życzliwością i sympatją dla faszyzmu. I oto niespodziewanie p. Alice Rohe postanowiła opuścić Włochy. Co ją skłoniło do nagłego wyjazdu? Oto jej własna odpowiedź:

„Uciekłam od narodu, który wydaje się nie czynić żadnego ruchu z własnej woli od chwili, gdy los jego spoczął w rękach wszechwiedzącego, wszechmogącego, wszechobecnego duce. Uciekłam od apatji, od rezygnacji, od myśli zdławionej. Chciałam wreszcie usłyszeć w Ameryce, jak ludzie naprawdę dyskutują"

„Jeśli wspomina się we Włoszech nazwisko Mussoliniego — to zawsze w formie: „wielki człowiek". Wszelka dyskusja polityczna — to tabu. Wszyscy mają w uszach hasło: „Pamiętajcie, że każdy może być szpiegiem!"

„Oczekiwałam pewnego wieczoru w restauracji rzymskiej znajomego, z którym przyjść miał były wysoki dygnitarz, uczony, liczący obecnie przeszło 70 lat. Mój znajomy nadchodzi wreszcie i oświadcza: „X — nie przyjdzie. Aresztowano go wraz z 30-u innymi w kawiarni koło Porta Pia pod zarzutem, że prowadził dyskusję polityczną. Mówili o filozofji. Proszę mi wierzyć, że jest niewinny. Niech pani spojrzy!". Wręczył mi egzemplarz rzymskiego pisma „Ottobre".

„Pod wielkim tytułem „Mussolini ma zawsze rację!" — widniał komunikat urzędu politycznego:

„W dzielnicy Campo Marzio przeprowadzimy kontrolę na 285 ulicach. Na każdej z tych ulic znajduje się obserwator, który czuwa, patrzy, słyszy"...

Znajdowałam się z moim znajomym w restauracji Fagiano, w dzielnicy, o której pisał „Ottobre".

Nagle porwała mnie tęsknota za krajem. Porwała mnie poprostu nieodparta chęć ucieczki. W uszach brzmiały mi słowa mego towarzysza przy stole:

„Proszę pamiętać, że policja faszystowska śledzi każdy objaw działalności publicznej i prywatnej, a kontrolę tę wykonywa 1.200.000 umundurowanych faszystów. Karabinjerzy, policja lokalna — to kontrola, którą się widzi. Ale policja tajna, słynna „Ovra" śledzi każdy pani krok i ruch — zawsze i wszędzie".

„Pomyślałam o dziennikach włoskich Wszystkie jednakie, te same. Zawsze z podobizną Mussoliniego na pierwszej, drugiej, trzeciej kolumnie. Nagłówki: „Mussolini przemawia", „Duce powiedział", „Duce będzie przemawiał". „Członkowie awangardy witają Mussoliniego" „Dzieci Lwicy oklaskują Duce".

Na ostatniej stronie krótkie, starannie przez cenzurę przesiane wiadomości.

Włosi, których znałam z lat dawnych byli narodem pełnym życia. A dziś? Myślę o Włoszech, gdzie z twarzy ludzkich znikł uśmiech, gdzie ludzie rozmawiając, zniżają głos!"

HANDLARZE POWOLNEJ ŚMIERCI

W odróżnieniu od wytwórców broni i amunicji, którzy są „handlarzami nagłej śmierci" — producenci gazów trujących otrzymali miano „handlarzy powolnej śmierci". Śmierć chemiczna, gazowa jest bowiem długiem, powolnem konaniem w męczarniach.

Główne wytwórnie międzynarodówki broni chemicznej są nieliczne: Du Pont de Memours w Stanach Zjednoczonych; Mitsui w Japonji; „Imperial Chemical" w Anglji; Kuhlmann we Francji; I. G. Farbenindustrie w Niemczech; Montecatini we Włoszech.

Na przykładzie francuskich zakładów Kuhlmann, kontrolujących $^9/_{10}$ francuskiej produkcji barwników, zorjentować się można bez trudu w międzynarodowym charakterze „handlu śmiercią powolną".

Zakłady Kuhlmann i niemiecka Farbenindustrie, reprezentowana w Paryżu przez dr. Karola Boscha, podpisały przed kilku laty układ porozumiewawczy. Powstało wspólne biuro, w którem zasiadło trzech Niemców i dwóch Francuzów.

Po upływie roku układ objął również amerykański „Chemical Corp."

Powiększenie kapitału Kuhlmanna zagwarantowały banki: Mendelssohn w Amsterdamie (centrala w Berlinie), Dillon — Read w Nowym Jorku, szwajcarski „Credit Suisse" oraz grupa banków angielskich i szwedzkich.

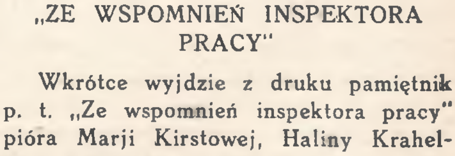
Francuski trust chemiczny jest tedy związany swą produkcją oraz finansowo z Niemcami, Anglją, Szwajcarją, Szwecją i Ameryką.

STAŁOŚĆ BEZROBOCIA

Przewodniczący angielskiej „Komisji statutowej ubezpieczeń na wypadek braku pracy" oświadczył: „Kraj musi przyzwyczaić się do myśli, że będzie posiadał stałą armję 1½ miljona bezrobotnych. Najprawdopodobniej bezrobocie w ciągu najbliższych ośmiu lat nie spadnie poniżej 16 proc. liczby zatrudnionych".

„ZE WSPOMNIEŃ INSPEKTORA PRACY"

Wkrótce wyjdzie z druku pamiętnik p. t. „Ze wspomnień inspektora pracy" pióra Marji Kirstowej, Haliny Krahelskiej i Stefana Wolskiego.



KSIĄŻKI NADESŁANE

Henryk Ułaszyn: „Państwo i kościół w walce o szkołę". Nakładem Zarządu Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Lublinie.

Henryk Ułaszyn: „Metody Rzymsko-Katolickie". Poznań 1936. Skład główny w Domu Książki Polskiej w Warszawie.

Franciszek Kafka: „Proces" tłumaczył *Bruno Schulz.* Warszawa 1936. T-wo Wydawnicze „Rój".

Herminja Naglerowa: „Krauzowie i inni". Powieść, tom I i II, Warszawa 1936. Nakładem J. Mortkowicza.

Stanisław Miłkowski: „Walka o Nową Polskę". Warszawa 1936.

Wydawnictwa Księgarni F. Hoesick'a:

Wanda Melcer: „Dwie osoby". Powieść. Warszawa 1936.

Tadeusz Ulanowski: „Bank Chrystusa". Powieść. Warszawa 1936.

Wydawnictwa „Naszej Księgarni" Zw. Naucz. Polskiego.

Z. Germanowa: „Od Rarańczy do Marmaros — Sziget". Wspomnienia sanitarjuszki Legjonów. Warszawa 1936.

Wanda Wasilewska: „Legenda o Janie z Kolna", Warszawa 1936.

Jan Muszkowski: „Życie książki", Warszawa 1936.

Wydawnictwa J. Przeworskiego:

Zygmunt Freud: „Wizerunek własny". Przełożył Dr. H. Załszupin Warszawa 1936.

Wincenty Rzymowski: „Prawo do życia a powinność pracy", Warszawa 1936.

Od wydawnictwa

W ciągu czerwca, lipca i sierpnia 1936 roku

„Epoka"

ukazywać się będzie raz na dwa tygodnie, od września zaś r. b. — co tydzień.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA za czerwiec, lipiec i sierpień 1936 r. — zł. 3.—. Od września r. b. — kwartalnie zł. 6.—. Numer poj. 60 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 2772 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.